

# KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM  
POLITYCZNO-SPOŁECZNYM  
I LITERACKO-ARTYSTYCZNYM

ROCZNIK **IV**

KRAKÓW 1899



̄-490

# T R E Ś Ć .

## ARTYKUŁY POLITYCZNE:

Nasza polityka. Ign. Daszyński . . . . .	1
O sejmie i kraju. Poseł F. Winkowski . . . . .	49
113	
Kilka słów o walce narodowościowej w Austrii. Żegota . . . . .	181
Babie lato. Żegota . . . . .	249
§ 14. Żegota . . . . .	297
Znachorzy. Żegota . . . . .	417
Skazaniec polityczny. Fr. Czerski . . . . .	6

## ARTYKUŁY SPOŁECZNO-NAUKOWE:

Internezzo. Wł. Kotwicz . . . . .	14
Stręczenie pracy. K. Nacher . . . . .	57
Rewizye zasad socjalizmu. Res . . . . .	65, 141
Proletaryzacja Galicji. W. Feldman . . . . .	76, 129
Ruch robotniczy w zagłębiu dąbro- wieckim. St. Os. . . . .	122
Ludwik Büchner. Dr M. Massonius . . . . .	151
Niepodległość Polski w programie socjalistycznym. M. Luśnia . . . . .	187
Nędza Rosyi w cyfrach. Hannibal . . . . .	196, 260
Szkice psychologiczne. L. Winiarski . . . . .	205
267.	
Prawa wyjątkowe. Dr Z. Mirski . . . . .	253
Ewolucya polityczna Czech współ- czesnych L. Wasilewski . . . . .	304
Wielki przemysł w Królestwie Pol- skim. Res . . . . .	316
Stosunki polityczno-społeczne w za- borze pruskim. St. Os. . . . .	422
List w sprawie Dreyfusa. A. France . . . . .	361
Ubezpieczenia ochronne robotników w Austrii. K. Nacher . . . . .	365

Czynniki polityczne pod zaborem rosyjskim. St.Os..arz . . .	372
Przyczynki do charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego. J.Trąbczyński . . . . .	436
Świeże prądy. S.Karski . . . . .	473
Ważniejsze braki w ustawie o ka- sach dla chorych. K.Nacher .	482

#### ARTYKUŁY LITERACKIE:

Młoda Polska. J.Sten 21,85,163,276, 334,386,451, 490.	
Z literatury obcej. M.Posner-Gar- feinowa . . . . .	28
Kilka słów o modernizmie. M.Po- sner-Garfeinowa . . . . .	91, 225
Młoda Rosya. A.Neuwert-Nowaczyń- ski . . . . .	326
Anatol France. Malwina Posner- Garfeinowa . . . . .	393

#### POEZYE i NOWELLE:

Rabi Pelalaj-Ben-Pedas. J.Żuka- wski (wiersz) . . . . .	19
Codzienny gość. (wiersz) F.Ei- senberg . . . . .	27
Jutrznia (wiersz) A.Niemojewski	90
Osioł i bajkopis (bajka) W.Wolski	109
Sonet. Z.Dębicki . . . . .	151
Z cyklu "Karma" (wiersz). Filip Eisenberg . . . . .	161
Niedowiarek. (Nowela) W.Orkan .	174
Fragment (wiersz) F.Nowicki . .	212
Spóźniony śpiewak (wiersz) K.Te- tmajer . . . . .	215
Z poematu "Na szczycie" (wiersz) K.Tetmajer . . . . .	215
Przy lutni (wiersz).A.Niemojewski	217
Lelewel (wyjątki z dramatu) St. Wyspiański . . . . .	218

Rabi Jeroboam-Ben-Lapidoth. (wiersz)	
J. Żuławski . . . . .	220
W nocy. Świt. (sonety) W.Orkan . . . . .	221
Sonety. Z.Dębicki . . . . .	222
Na sen wieczny. (wiersz) F.Eisenburg	223
Odi. (wiersz) J.Jedlicz . . . . .	223
Sen Haskiela (nowella) J.Sten. . . . .	240
Wiosenny wieczór. (nowella) W.Dalecka	287
· Prymicyant (nowella) J.Jedlicz . . . . .	344
O zmierzchu. (nowella) W.Reymont . . . . .	407
Sama samiuteńka (nowella, przekł.z rus)	
Wasył Stefanyk . . . . .	413
Zdekłe. (gawęda tatrzańska) A.Stopka	416
Wysłaniec (z cyklu "Legendy", nowela)	
A.Niemojewski . . . . .	465
Bajka nie bajka (gawęda) A, Stopka . . . . .	471
Sanguina (nowella) Theresita . . . . .	504
W sieci (nowela) J.Jedlicz . . . . .	513

### LUŻNE KARTKI:

(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Lwi pazur (List z Warszawy). ANiemojewski. - List ze Lwowa. X.- Krachy i szwindle. Z. - Przegląd teatralny) . . . . .	33
(Z karowskiego bruku. Sotwaros. - List ze Lwowa. X. - Emigracya. Z. - przegląd teatralny) . . . . .	97
(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Miraże dla głodnych i łaknących. Z) . . . . .	167
(Z krakowskiego bruku. U. - Narodowi katolicy. Z. 8 Przegląd teatralny. - Wspomnienie pośmiertne) . . . . .	233
(Oryginalny jubileusz. - Przegląd teatralny Odezwa Komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego) . . . . .	279
(Ogrób poety. Z. - List z Warszawy. A.N.) . . . . .	339

(Okruchy. Far. - List z Warszawy A.N. - Z Goreów. W.O. - Przegląd teatralny)	400
(Za kulisami polityki. Z. - Antagonizmy M.Z. - List ze Lwowa. X. - Przegląd teatralny)	456
(Po wielkim procesie. X. - Dyktatura policyjna. - Komitet młodzieży)	495
Sprawozdania	47,285.

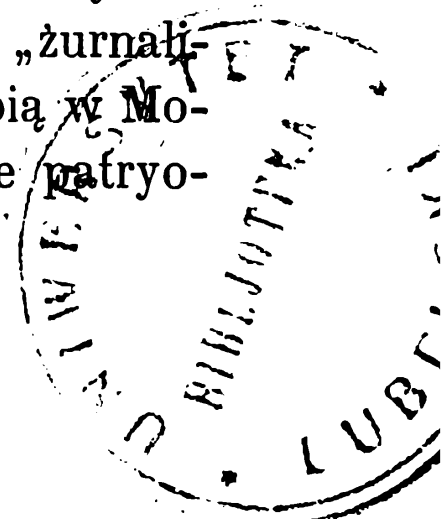


ŻEGOTA

## ZNACHORZY.

Ile razy w tych ciężkich czasach wezmę przed siebie stos gazet, tylekroć głębokie ubolewanie nad biednym przeciętnym czytelnikiem ściska mi serce. Rozumiem wtedy zdanie łagodnego filistra, że polityka jest brzydkim rzemiosłem, a w Galicyi należy ona jeszcze do rzędu jakichś otumaniających narkotyków. Zatoniony w pomyjach gazeciarskich biedny mózg niezepsutego i roztropnego człowieka, ratuje się też potem zupełną powściągliwością od tego rodzaju spraw brzydkich, i staje się kompletnie obojętnym i indyferentnym; człowiek ucieka za roгатki, do zielonego stolika, do teatru, do pijatyki nawet, nucąc sobie pod nosem refren polskiej piosenki, że „cała Europa nie warta jednej u lanc chorągiewki, co w wolnej dłoni powiewa“.... — ta Europa, czy też ta Austria, na którą patrzeć musi biedny czytelnik dzienników przez pryzmat fałszowanych lub niedokładnych telegramów, lub artykułów nadeptych nienawiścią, sztuczną powagą, a przede wszystkim pisanych żargonem politycznym, zdolnym do zohydzenia mowy polskiej i do zakrycia wszystkiego, co się właściwie ma do powiedzenia.

Popatrzmy na „Nową Reformę“. Ma ona pewien dział, który warto studyować z całą uwagą i sympatją. Są to korespondencye z Warszawy, pisane widocznie przez człowieka o umyśle głębszym i sercu gorącym. W dziale tym czyta się znakomite analizy „kultury słowiańskiej“, zaszczepianej w Królestwie przez rosyjską „swolocz“; cóż kiedy tuż obok pieje jakiś galicyanin hymny na cześć „wszechsłowiańskiego zbratania się“ i przemocą zamyka oczy na obrzydliwe, serwilistyczne moskalofilstwo młodoczeskich „żurnalistów“ ze Złatej Pragi, tych samych, których przyjaciele robią w Morawskiej Ostrawie Polakom szykany za odegraną w teatrze patryo-



tyczną polską sztukę! Ale żeby choć w tej galicyjskiej specyjalnie polityce była jaka myśl głębsza, choćby niesympatyczna, wówczas możnaby wiedzieć bodaj, czego ci wszyscy piszący ludzie chcą, do czego zdążają? Przy końcu września t. r. pełną jest „Reforma“ sympatyi czeskich, za parę tygodni rzuca się na pisma staroczeskie za to, że gniewają się na hr. Gołuchowskiego o obalenie ich kochanego Thuna i dra Kaizla, a więc tego samego gabinetu większości, z którą „Reforma“ szła tak solidarnie.... Zaraz potem następuje atak na Młodoczechów, którzy mają tracić grunt pod nogami... Można więc tutaj prowadzić politykę antypanslawistyczną i panslawistyczną, polską i austryacką, rządową i opozycyjną. Jak się komu podoba; wszystko można, bo publiczność da ze swojemi biednemi głowami wszystko zrobić.

O obłudnej i świadomie kłamiejącej polityce stańczykowskiego „Czasu“ pomówimy osobno, bo tego w paru słowach załatwić nie wolno.

Ale weźmy innych ludzi, tych n. p., co na bruku warszawskim wyrosli, a potem przesiedlili się do Galicyi, aby tutaj pracować. Wydają swoje pismo raz na miesiąc, a więc mogliby pomyśleć głębiej nad każdym ważniejszym zjawiskiem politycznym. Tymczasem ci demokraci ubolewali, że rząd austryacki za słabo prześladowuje ruski ruch opozycyjny, ci mentorzy ludu dali się porwać orgii upadającego badenizmu do najdziwniejszych dla demokracji i polaka poglądów, a oto dzisiaj liczą najbardziej na wzrost szowinizmu niemieckiego, który wyodrębnia tanim kosztem Galicyę, obronę zaś reszty Słowian nazywają wprost „argumentem sentymentalnym“. Te szczególnego nabożeństwa prelekcyje polityczne wygłaszają z równoczesnem odsądzeniem wszystkich stronnictw i wszystkich polityków od rozumu politycznego, zarzucają całemu światu politykę nierealną i odziani w nieistniejącą szatę głębokich wywodów politycznych nie spostrzegają zupełnie swej śmieszności.

Możnaby jeszcze więcej przytoczyć faktów, ale i te wystarczą dla zilustrowania zamętu, królującego w polityce Galicyi. Gdyby kto chciał powątpiewać co do samego podkładu faktycznego powyższych wywodów, możemy mu służyć zbiorem cytata z całego szeregu innych gazet, po których przeczytaniu należy się co rychlej chwycić za głowę, aby się upewnić o swej przytomności.

A przecież dawniej tego w kraju nie było. Działo się inaczej. W parlamencie „Kolo“ jednolite i oczywiście zawsze solidarne, głosowało za każdym rządem. To było pierwszym pun-



ktem. W Sejmie gawędziła szlachta swobodnie między jednym a drugim rautem i ogłaszała po kolei za szaleńca jakiegoś nieszczęsnego opozycjonistę. Zgodnym chórem szczuto na Rusinów, którzy znów ze swej strony rozbijali sobie przykładnie głowy o miękkie i twarde znaki pisarskie. Żydzi mieli swój handel, a chłopci swoich ekonomów, księży i żandarmów. Stańcyzy gasili konsekwentnie „pożary“ uczucia, które wybuchały podłożone ręką patriotyczną. Nie było ludowców, stojałowczyków i socyalistów, a jezuci nie potrzebowali jeszcze byli robić polityki „ludowej“, lecz zadowalniali się łowieniem pobożnych zapisów, budowaniem domów i tresowaniem młodego narybku szlacheckich Tartuffów.

Wszystko było — jak to mówią — po bożemu; czytelnik galicyjski zajmował się polityką okrutnie; wiedziano dokładnie o każdym ruchu Osmana, a potem Arabiego paszy i oczywiście kontrolowano tego „szelmę“ Bismarcka, spodziewając się zresztą odbudowania Polski od morza do morza w stosunkowo krótkim czasie. Wszystko było jasne i konsekwentne, a nikt nie był w kłopotcie co do najbliższej przyszłości.

I wszystko to znikło jak sen długiej nocy zimowej, po której nastąpiło łamanie się cieniów z światłem; trwożne szukanie drogi, ówe srogie represye polityczne i pasowanie się potężne, nieraz rozpaczliwe, przeróżnych prądów nowych, dotąd nieznanych. I spokoju, i zadowolenia i światła niema. Fałszywy grymas wykrzywił fizyognomię polityczną kraju....

Z czego też to powstało?

Wszak z niczego innego, jak tylko z przebudzenia się warstw ludowych na wsi i w mieście, z ożywienia życia publicznego, w którym po raz pierwszy rozpoczęła się walka interesów różnych warstw narodu, krótko mówiąc: walka klasowa.

Poprostu nie można zrozumieć absolutnie całej dzisiejszej polityki w Galicyi, jeżeli się nie stanie na tem stanowisku. A równolegle ze zmianami ukształtowania sił poszczególnych klas u nas, odbywały się — i to znacznie potężniej i szybciej — takie same zmiany i w innych narodach w Austryi. Czeskie i niemieckie mieszczaństwo spotężniało w ostatnich trzydziestu latach, wzmógł się również politycznie i proletaryat.

Wszystkie te jednak przemiany treści życia publicznego nie uzyskały odpowiednich sobie wyrazów w formach politycznych i prawnopaństwowych. Ztąd zacięty nowowybijających się interesów napór na dawne zastarzałe formy. A wśród tego niezadowolenia głębokiego wszystkich, pojawiają się coraz to liczniejsi zna-

chorzy, którzy mają gotową receptę w tem lub owem hasle politycznym.

Autonomia, federalizm, odrębność narodowa, wyodrębnienie Galicyi, powrót do tego lub owego patentu konstytucyjnego, to wszystko jak złowieszcze komety przelatuje na horyzoncie politycznym zaniepokojonych obywateli galicyjsko-austryackich, a każde takie hasło ma być jedynie zbawiennem i skutecznem.

Tymczasem należy jakoś te wszystkie formy złączyć organicznie z samemi potrzebami życia, należy możliwość ich zbadać i udowodnić, bo inaczej staniemy się wprost pastwą awantur politycznych, pastwą klasowych organizacyj, które wiedzą co czynią, chcąc siebie uratować a zmącić wszelki ruch ludowy.

Nie można zatem dzisiaj dla żadnej formalnej zmiany konstelacyi Galicyi do państwa wyrzekać się walki o interesy ludu; nie wolno wypuszczać wróbla z ręki dla gołębia na dachu i nie wolno stawać się łatwowiernym wobec każdego pierwszego lepszego demagogicznego programu, stawianego przez ludzi, którzy go urzeczywistnić mogliby chyba na drodze dobrowolnego politycznego i socyalnego samobójstwa.

Ponieważ w Galicyi niema właściwie żadnej organizacyi klas średnich, ponieważ ideologiczna „inteligencja“ odgrywa tu jeszcze minimalną rolę, przeto rozpoznanie klasowych interesów jest stosunkowo u nas łatwiejszem, niż gdzieindziej, n. p. na Zachodzie. Na pierwszy rzut oka brzmi to może nieco paradoksalnie, a jednak każdy doświadczony polityk łatwo się z tym poglądem zgodzić może.

Gdy slysze jezuitę śpiewającego patryotyczne polskie pieśni, gdy czytam (np. w „Kraju“) zapowiedź stańczyka, że konserwatywne stronnictwo krakowskie stanie się „stronnictwem socyalnem, wciągajacem w zakres swych zadań potrzeby wszystkich warstw ludności“, t. j. że stanie się ono (dosłownie!) „stronnictwem demokratycznym, stronnictwem ludowem“, wówczas przychodzi łatwo na myśl, że może istotnie tłum skazany jest na wieczną ciemnotę, jeśli przedkłada mu się bez rumieńca na czole podobne zdania i czyny.

Znajdą się bowiem i tacy, co w to uwierzą.... Znajdą się — i w imię „ludowości“ stańczyków przeklinać będą chłopów czytających swoje gazetki i schodzących się w jakiej stodole, aby popłakać nad swoją czarną dolą, chłopów „buntowników“, anarchistów i bezbożnych bluźnierców.

Tak samo nie zbraknie i tych, co natrzęsać się będą z robo-

tników, że organizują się i bronią swoich najbliższych interesów, swej pracy i płacy, a natrzasać się będą ci święci w imię patriotyzmu, ogromnie „szeroko“ pojętego i budującego już pojutrze Polskę, nawet jako republikę z analfabetami mrącymi z głodu, z ambasadorami polskimi w Europie, z jezuityzmem gnieźdzącym się w domu i z flagą narodową na zewnątrz....

Lekceważenie interesów klasowych, oderwanie całej polityki od tego gruntu, mści się na każdym, tylko nie na tych obłudnikach, co owo lekceważenie mają tylko na języku, a w gruncie rzeczy prowadzą najbezwzględniejszą politykę klasową. Temu też zawdzięcza garstka biurokracyi i szlachty, sprzymierzonej z kilkunastoma bogatymi żydami dotychczasowe swoje panowanie nad krajem. To jest prawdziwie „realna“ polityka, a nie frazesy rzucane na cierpliwy papier.

Tą drogą udało się garstce sprytnych konserwatystów skorumpować całą t. zw. „demokrację“ galicyjską; tą drogą łowi się na idealistyczny arkan chłopskich i drobnomieszczańskich polityków i zmusza się ich do popełniania szeregu szalbierstw wobec swoich wyborców, wobec swej klasy, ale zawsze w interesie „narodu“, czy „kraju“, czy czegokolwiek innego, co w danej chwili jest akurat w modzie.

Taki hrabia stańczyk prędzej utworzy np. idealne „państwo Jagiellonów“ z Czech, Węgier i Polski, zanim da w Sejmie jeden mandat robotnikom; prędzej obieca łatwowiernemu chłopu państwo polskie, nim pozwoli na ubezpieczenie go w kasie chorych! A wszystko wbrew „niskim i poziomym“ interesom chłopskiego oczywiście i robotniczego żołądka....

Niema „realnej“ polityki bez podkładu realnych, przez masy odczutyh interesów, a to, co tych interesów nie rozumie i nie uwzględnia, jest awanturą, iluzją i fałszem mniej lub więcej szkodliwym, jest politycznem znachorstwem, może czasem bardzo ładnem i interesującym, ale częściej zgubnem.

Nie chodzi tu o „poziomość“ polityki, nie chodzi o tłumienie ducha, lub gaszenie porywów wielkich, obejmujących dalekie czasy i przestrzenie, ale o organiczną zgodność tych porywów z życiem przy ziemi. A Polak ma może najświętszy, największy obowiązek, przypominać to Polakom, którzy wylali więcej krwi i położyli więcej w tem stuleciu ofiar, niż jakikolwiek inny naród.

Musi nastąpić wreszcie i u nas dopasowanie dokładniejsze ideologii politycznej do szarego, rzeczywistego życia i potrzeb wielkich mas narodu, musi nastąpić wreszcie przystosowanie sił do

celów, które można danemi siłami osiągnąć, a ustać powinien frazes, tak bardzo łatwo nas mamiący. Policzenie się z rzeczywistymi interesami codziennego życia ludu wpłynie potem korzystnie i na sam rozwój ideałów, choćby najdalej sięgających.

Mniej będzie znachorów, a więcej trzeźwych ludzi, ale i mniej szalbierzy, a więcej uczciwych polityków.

---

ST. OS...ARZ.

## STOSUNKI POLITYCZNO-SPOŁECZNE ZABORU PRUSKIEGO.

### I.

Szczupłe informacje, które posiada ogół polski o stosunkach w zaborze pruskim, przedostają się na łamy pism galicyjskich i warszawskich przeważnie w oświetleniu ponuro-pesymistycznym. Fakty takie, jak wykupywanie ziemi z rąk szlachty polskiej przez komisję kolonizacyjną, jak osadzanie chłopów niemieckich na ziemi rdzennie polskiej, jak orgie hakatyzmu, jak prześladowania żywiołu polskiego ze strony rządu i nadużycia władz pruskich — fakty takie stanowią prawie wyłączną treść korespondencji z zaboru pruskiego do pism innych dzielnic. Fakty charakteru dodatniego, o których wiadomość pojawia się od czasu, formalnie nikną w powodzi korespondencji pesymistycznych.

Tłómaczy się to tem, że prawie wszystkie informacje nasze o zaborze pruskim pochodzą ze źródeł, znajdujących się pod przeważnym wpływem klasy bankrutów społecznych i politycznych — z prasy stojącej na usługach szlachty. Wszak do bardzo niedawna jedynym informatorem w tej dziedzinie był „Dziennik Poznański“ organ berlińskiego „Koła Polskiego“, a więc reprezentacji ultraszlacheckiej.

Nic dziwnego, że informacje, z takiego źródła pochodzące, nie oznaczają się optymizmem. Szlachta w zaborze pruskim, zafana, nieporadna, przygnębiona kryzysem rolniczym upada ekonomicznie, wyzbywa się ziemi, a jednocześnie z tem traci na znaczeniu i wpływie politycznym, tem bardziej, że wszystkie jej umizgi pod adresem rządu do niczego nie doprowadziły. Niepowodzenie

materyalne i moralne przygnębiły ją zupełnie i sprawiły, że szlachta patrzy na wszystko pesymistycznie.

Pesymizm ten, przenikający warstwy szlacheckie zaboru pruskiego, udziela się całej opinii publicznej w Polsce, choć bynajmniej uzasadnionym nie jest, bo przecież trudno całemu społeczeństwu stanąć na stanowisku niedomagań i strat jednej klasy.

Bezwarunkowo w zapewnieniach hakatystów i przedstawicieli rządu pruskiego jest bardzo dużo przesady, kiedy twierdzą, że żywioł polski gwałtownie wypiera i pochłania niemiecki. Jednakowoż fakt to niezbity, że polskość, pomimo ogromnej emigracji, pomimo całej działalności komisji kolonizacyjnej, pomimo napływania żywiołu urzędniczego z Niemiec, nie tylko wzrasta liczebnie, ale wzrasta daleko szybciej od niemieckiej, co głównie należy przypisać większej płodności polaków.

Już to jedno stanowi potężną przeciwwagę działalności komisji kolonizacyjnej, która w ciągu 12 lat pomnożyła ludność niemiecką dzielnic polskich o 7000 głów, kiedy przewyżka polaków nad Niemcami w ciągu tegoż samego czasu skutkiem większego przyrostu naturalnego wynosi 28.000 t. j. cztery razy tyle.

Najwięcej się lez przelewa z powodu przechodzenia własności ziemskiej (wielkiej) z rąk polskich w ręce niemieckie. Istotnie, tam, gdzie lud jest zupełnie nieświadomy pod względem narodowym, tradycyjny dwór polski może mieć wpływ pewien. Ale, kto zna stosunki zaboru pruskiego ten nigdy nie będzie twierdził, że wpływ ten jest dodatnim. Zdemoralizowana pod względem politycznym ultrareakcyjna, serwilistyczna szlachta poznańska i zachodniopruska poprostu tamuje rozwój świadomości narodowej i społecznej chłopca i tam, gdzie szlachty tej już całkiem nie ma chłop potrafi sobie radzić niezgorzej. W ostatnich czasach widzimy nawet, że właśnie w okolicach, pozbawionych polskiej własności wielkiej, poczyna się najsilniej budzić ruch narodowy.

W ten sposób upadku wielkiej własności polskiej nie możemy w żaden sposób uważać za *minus* w ekonomice narodowej, tem bardziej, że jednocześnie z upadkiem wielkiej własności podnosi się i rozszerza drobna i średnia własność polska, a działalność Banku ziemskiego i spółek parcelacyjnych rozwija się coraz bardziej.

Co jednak musimy uważać za prawdziwy *plus* ze stanowiska narodowego, to powolne odniemczanie się i nawet polonizowanie się miast, które już za czasów istnienia Rzeczypospolitej były bardzo mocno zniemczone.

Fakt to niezbity, że procent ludności niemieckiej w miastach

zaboru pruskiego stale się zmniejsza. Poczęści wpływa na to ustawiczna emigracja żydów (przyznających się w zaborze pruskim do narodowości niemieckiej), których liczba od r. 1843 zmniejszyła się o połowę. Ale główną przyczyną polonizacji miast jest wytworzenie się polskiej klasy średniej, przemysłowców, kupców, inteligencji zawodowej.

W r. 1831 w Poznaniu było 25,300 polaków, a 31.000 Niemców. Dziś polaków jest 40.000, Niemców zaś tylko 34.000. Liczbie firm przemysłowych i handlowych polskich w ciągu ostatnich lat pięciu przybyło 10, kiedy niemieckich (łącznie z żydowskimi) ubyło 7. W miastach prowincjonalnych ten procent jest jeszcze bardziej jaskrawym. Np. w Inowrocławiu w r. 1875 było 16 niemieckich handlów kolonialnych, a tylko 2 polskich. Obecnie jest tam pierwszych 7, za to ostatnich 10. W Szremie firmy niemieckie zostały całkowicie wyparte z rynku przez polskie. Liczba polaków lekarzy, aptekarzy, adwokatów, techników, budowniczych, dziennikarzy wzrasta nieustannie. Na Śląsku w r. 1890 było zaledwie paru lekarzy polaków, a dziś jest ich około 40-stu.

Jeśli do tego wszystkiego dodamy takie fakty z ostatnich lat kilkunastu, jak przyłączenie się do ruchu narodowego Górnego Śląska, jak obudzenie się Warmii, mazurów pruskich, nawet nawpół zniemczonych zakątków Pomorza, to zobaczymy, że niema żadnych powodów do rozpaczania o losach polskośći w zaborze pruskim, że te szczyrby, jakie wytwarza pruski system germanizacyjny, w zupełności są naprawiane przez żywiołowy wzrost samego społeczeństwa.

Czas więc zerwać z czysto szlacheckim pesymizmem w traktowaniu położenia polskośći w zaborze pruskim, ale jednocześnie czas zerwać też i z konwencyonalnymi fałszami w ocenianiu pracy i walk tego społeczeństwa, coraz bardziej rozwielmożniającymi się w opinii publicznej innych dzielnic Polski.

## II.

Pierwszym z tych fałszów konwencyonalnych jest mniemanie, jakoby warunki zewnętrzne, w jakich społeczeństwo zaboru pruskiego zmuszone jest walczyć o byt, były tak okropne, że społeczeństwu nie pozostaje nic, jak załamać ręce i polecić się opiece opatrznosci. Z mniemanem takim można się spotkać nie tylko w Galicyi, ale nawet w obrabowanym ze wszystkich praw zaborze rosyjskim.

Nie da się zaprzeczyć, że polacy są w Prusach traktowani jako obywatele drugiego stopnia, że względem nich są praktykowane nadużycia, o jakich Niemcy (z wyjątkiem socjalistów) pojęcia nie mają, ale z drugiej strony faktem jest, że konstytucja pruska gwarantuje ludności daleko większe swobody polityczne, aniżeli austriacka w swej karykaturze galicyjskiej. Wolność prasy i zgromadzeń jest w Prusach daleko większa, aniżeli w Galicyi, a na nadużycia urzędników zawsze można znaleźć radę, o ile się przeciwko nim występuje śmiało, konsekwentnie, przeprowadzając sprawy przed wszystkie instancje.

Zresztą tak nadużycia niższych urzędników, jak otwarcie antypolska i germanizacyjna polityka władz wyższych wypływają z tego kierunku reakcyjnego, który w ostatnich czasach zapanał w całych Niemczech, a który jaknajusilniej jest popierany właśnie przez... polaków.

Reprezentacja polska w parlamencie berlińskim jest zwarłą falangą pomocników najskrajniejszej reakcji. Ilekroć chodzi o poparcie reakcyjnych kaprysów rządu, „Koło Polskie“ jest do usług, po których spełnieniu otrzymuje prawie zawsze kopnięcie ze strony rządu zamiast spodziewanej nagrody. Ono to w r. 1893-cim głosowało za osławionym projektem wojskowym, ono to nie zawahało się nawet przed głosowaniem nad złagodzoną nieco projektem „antyprzewrotowym“.

W ten sposób „Koło Polskie“ ponosi do pewnego stopnia odpowiedzialność rozwielenia się reakcji w Niemczech, na czem najbardziej traci właśnie ludność polska, bo to, co jest reakcją w rdzennych Niemczech, w dzielnicach polskich jest reakcją spotęgowaną. Dlaczegoż więc ludność polska wybiera taką reprezentacją? Wszak w Niemczech istnieje powszechne, bezpośrednie, tajne prawo wyborcze; „galicyjskie“ wybory z ich niesłychanymi nadużyciami są w Prusach niemożliwością, więc dlaczegoż ludność polska nie wybierze innych posłów?

Odpowiedź na to pytanie musi zdruzgotać drugi fałsz konwencyonalny, puszczony w obieg przez prasę szlachecką i tułający się w opinii nawet demokratów innych dzielnic.

Fałsz ten polega na ustawicznych pochwałach uświadczenia obywatelskiego chłopca w Wielkopolsce. De facto zaś uświadczenie to poza czysto formalnem poczuciem narodowościowem znajduje się na bardzo niskim poziomie. Oczywiście, że dla szlachcica, wybieranego do parlamentu przez ciemne masy chłopstwa, najpożądniejszym rodzajem „uświadczenia obywatelskiego“ jest właśnie takie,

kiedy chłop da się mu kierować bezwzględnie, głosuje tak, jak on mu każe, na kogo mu każe i kiedy działalność tego szlachcica, skierowana ku pogwałceniu ekonomicznemu i politycznemu, wcale mu nie odbiera zaufania. Ale to „uświadomienie“ nader boleśnie odbija się na skórze całego społeczeństwa.

Szlachcic w parlamencie uchwała nowe podatki, spadające całym swym ciężarem na ludność pracującą, szlachcic prowadzi politykę ugodową, przymila się rządowi, popełnia zdradę narodową, a chłop po dawnemu słucha szlacheckich komitetów wyborczych i wysyła tego szlachcica do parlamentu.

A ruch ludowy, o którym tyle się słyszy w ostatnich czasach?

Przedewszystkiem ruchu ludowego w zaborze pruskim nie należy utożsamiać z ruchem ludowym w Galicyi. Galicyjski ruch ludowy we wszystkich swych odmianach jest ruchem czysto chłopskim, gdy ruch ludowy poznański — to objaw budzącej się samowiedzy drobnomieszczaństwa i poczęści robotników.

Zapoczątkowany przez dra Szymańskiego, redaktora „Orędownika“ ruch ludowy jest protestem przeciwko hegemonii szlacheckiej w imię interesów „warstw średnich“ i, jak wszelkie ruchy drobnomieszczańskie, obfituje w kontrasty wewnętrzne i jest bardzo niejednolity. Od krańcowej lojalności pruskiej przerzuca się do uwielbiania haseł niepodległościowych, od klerykalizmu do występowania przeciwko duchowieństwu z nienawiścią, od denuncjowania socjalistów do sympatii socjalistycznych. Ma, oczywiście, charakter antysemitki.

W stosunkach obecnych ruch ludowy poznański jest zjawiskiem bezwarunkowo dodatnim, gdyż dyskredytuje szlachtę, domaga się dostępu szerszych mas do udziału w pracy publicznej, odwołuje się do „samopomocy“ społeczeństwa, walcząc z „laską pańską“.

Sukcesów namacalnych poznański ruch ludowy nie osiągnął dotychczas. Te „warstwy średnie“, na których się opiera, są jeszcze zbyt słabe, a lud wiejski nie został jeszcze masowo do ruchu wciągnięty. Pomimo to jednak zdołał on już niejednokrotnie popsuć szyki szlachcie, zdyskredytować ją na niejednym stanowisku, odebrać cechującą ją zawsze pewność siebie i zmusić do liczenia się ze współzawodnikiem.

To też szlachta zwalcza ten ruch wszelkimi, dostępnymi jej środkami, nie cofając się przed niczem. Organa szlachty traktują ruch ten, jako bunt przeciwko władzy nieograniczonej nad narodem, przywiązanej — według ich zdania — do herbu i posiadło-



ści ziemskiej. Nie zawahano się rzucić pod adresem przywódców ruchu ludowego epitetu „płatne szpiegi“, a cały ruch nazwano buntem „bosaków“.

Ma się rozumieć, że takie traktowanie ruchu ludowego musiało wzniecić straszną nienawiść jego zwolenników ku szlachcie. Nienawiść ta wybucha od czasu do czasu, ale słabość społeczna żywołu, na którym się ruch ludowy opiera, nie pozwala mu odnosić tryumfów i stronnictwo ruchu ludowego nie posiada dotychczas np. swego reprezentanta ani w parlamencie, ani w sejmie. Dopóki nie uda mu się rozszerzyć swych wpływów na lud wiejski, nie będzie on strasznym dla szlachty. A jak dotychczas, to wpływy organów ruchu ludowego na wsi uzyskują grunt prawie bez wyjątku tam tylko, gdzie szlachty już nie ma.

### III.

Największym a zarazem najbardziej szkodliwym fałszem konwencyonalnym jest — o ile chodzi o zabór pruski — utożsamienie walki o narodowość z obroną katolicyzmu. Hasło „za wiarę i ojczyznę“, o ile pod wiarą mamy rozumieć kościół katolicki, w zaborze pruskim jest krzyczącym nonsensem. Tam kościół a prawo narodu znajdują się obecnie w zupełnym przeciwieństwie, bo kościół katolicki jest narzędziem germanizacji straszniejszym od wszelkich okólników rządowych, wybryków hakatystów i komisji kolonizacyjnych.

Klerykalizm, trzymający w swych rękach wszystko — oto największy wróg polaków i sprawy narodowej w zaborze pruskim.

Od czasu walki kulturalnej (Kulturkampf) społeczeństwo wielkopolskie popadło w niewolę kleru, a szlachta stała się narzędziem w ręku duchowieństwa, które schlebiając jej egoistyczno-klasowym instynktom wyzyskiwało jej wpływy polityczne dla swych interesów własnych.

Podczas kulturkampfu duchowieństwo, gnębione przez rząd, weszło na drogę opozycji i włożyło na swą twarz kosmopolityczną maskę obrony interesów narodowych. Ale z chwilą, kiedy rząd pruski skapitulował przed wojującym klerem, maski już całkiem niepotrzebne, rzucono w kąt, a wpływy, jakie uzyskano w krótkiej dobie opozycyjnej, zachowano w celu wyzyskania ich dla interesów Rzymu.

Frazes, którym szermowano w czasie kulturkampfu, frazes o „religii i narodowości“ jako czemś nierozdzielnym stał się jednym

ze środków hypnotyzowania niewyrobionych politycznie tłumów, środkiem daleko szkodliwszym od wslawionej „jedności narodowej“.

Dopóki na poznańskiej stolicy biskupiej siedział Niemiec Dinder, człowiek uczciwy, nie mieszający się do polityki, polityczny wpływ kleru nie był dominującym w społeczeństwie; ale z chwilą nastania arcybiskupa Polaka p. Stablewskiego, postać rzeczy się zmieniła. Wojujący klerykalizm, pod wodzą Stablewskiego, stał się czynnikiem pierwszorzędym, wywierającym wpływ wprost niesłychany na politykę kraju.

Jaki duch przenika ów wojujący klerykalizm poznański i czego się może po nim naród spodziewać, najlepiej świadczy taki oto ustęp z „Kuryera Poznańskiego“<sup>1)</sup>, organu „prymasa“ Stablewskiego, kierującego w znacznym stopniu polityką polską w zaborze pruskim.

Oto zdanie owo: „Pragnąć należy gorąco, ażeby prasa nasza pozbyła się zacietrzewienia narodowościowego i oceniała wszystko z trzeźwego, jedyne właściwego punktu widzenia interesów katolickich, boć one to obejmują całkowicie interesy narodowe... I u nas coraz szersze koła zaczynają rozumieć potrzebę zapatrywania się na sprawy narodowe przez pryzmat katolicki“.

W przekładzie na język zwykłej taktyki politycznej program ten oznacza: obronę języka polskiego w szkole o tyle, o ile potrzebny jest do przygotowania dzieci do Komunii; sojusz z Niemcami-katolikami wszędzie: w towarzystwach, w walce politycznej i t. d., zupełne podporządkowywanie spraw narodowościowych interesom katolicyzmu, a więc na dalszym planie zupełna germanizacja. Kler opanował najzupełniej szlachtę zaboru pruskiego, która postępuje wyłącznie podług jego wskazówek.

Ostatnie wybory (1898) mogą nam dostarczyć szeregu faktów, świadczących o tem, że szlachta składa w ofierze interesom klerykalizmu germanizatorskiego interesy polskości. Tak np. w okręgu babimojsko-międzyrzeckim, w którym stale wzrasta liczba głosów polskich, tak, że przy poprzednich wyborach kandydatowi polskiemu brakowało zaledwie 300 głosów (na 18.000) do uzyskania większości, narzucono ludowi polskiemu kandydaturę centrowca. W okręgu leszczyńsko-wschowskim, w którym wybrano w r. 1893 Polaka, w 1898 narzucono ludowi Niemca-centrowca, księdza Pascha.

I to wszystko robi się właśnie wówczas, kiedy centrum w najhaniebniejszy sposób nie tylko zdradza swych „sojuszników“ pola-

<sup>1)</sup> „Kuryer Poznański“ r. 1895.

ków, ale wyteżają wszystkie swe siły, ażeby podkopać ich kandydatury i urwać co się da!

Ale interes Kościoła, chociażby ten występował jak najbardziej wrogo przeciwko polskości, jest dla klerykałów polskich najdroższym, więc postępują tak, jak każe arcybiskup. — Ten klerykalizm przeniknął najzupełniej t. zw. „wyższe“ warstwy społeczeństwa poznańskiego, szerząc ciemnotę i demoralizację w ciemnym i zdemoralizowanym i tak już społeczeństwie.

Że zabór pruski jest obecnie krajem, który nic a nic nie wnosi do ogólnonarodowej skarbnicy wiedzy, sztuki lub literatury, to dla nikogo nie jest tajemnicą. Ciemnota, panująca w sklerykalizowanym społeczeństwie przytłumia w zarodku wszelkie żywsze porywy jednostek wybijających się ponad poziom. Panowanie kleru z jednej strony, a system policyjny przenikający państwowość pruską — z drugiej, wywołuje fatalne obniżenie etycznego poziomu społeczeństwa.

Kiedy w zaborze rosyjskim lub austriackim denuncyacja jest uważana za podłość ostateczną, a denuncyanta traktuje się jako wyrzutka społeczeństwa, to w zaborze pruskim denuncyacja jest tolerowaną najzupełniej. Rozgościła się ona we wszystkich sferach. Księża z kazalnicy zachęcają swe owieczki do denuncyacji, organa klerykalne denuncyują swych przeciwników politycznych, studenci-poznańscy na uniwersytetach niemieckich donoszą na swych kolegów z za kordonu, robotnicy denuncyują swych towarzyszy pracy i t. d. Denuncyacja w sferach drobnomieszczactwa i klasy robotniczej, przybrała zastraszające rozmiary i tem się tłumaczy wielka liczba procesów o obrazę majestatu np. na Ślązku.

Jedną z najważniejszych przyczyn zastoju umysłowego jest brak wyższego zakładu naukowego w Poznaniu. Nawet niemiecki uniwersytet, skupiający bądź co bądź wielką ilość młodzieży polskiej, przyczyniłby się wielce do ożywienia umysłów. Ale rząd pruski nie chce dopuścić do założenia uniwersytetu w Poznaniu, a zmusić rząd do tego, mogłaby chyba jakaś koalicja stronnictw postępowych i opozycyjnych, ale w takiej koalicji niema miejsca dla „Koła Polskiego“.

Że klerykalizm poznański obok reakcji i popierania germanizacji uprawia i serwilizm krańcowy — to nikogo przecież dziwić nie będzie. „Wszelka władza od Boga“, a więc i ta władza, która naród polski gnębi, zasługuje na szacunek.

Oto np. jakie kwiatki hoduje klerykalizm poznański, że przytoczymy ustęp z pierwszego lepszego numeru organu „prymasa pol-

skiego“: „Obchodzimy dziś wraz z całym państwem urodziny cesarza Wilhelma II. My jako czcimy w nim reprezentanta najwyższej władzy świeckiej, z woli Boga ustanowionej, tak zniewoleni jesteśmy z woli najlepszej, niczem nie zaćmionej, złożyć u stóp jego tronu najszczerze życzenia lojalnych poddanych, którzy bez fałszu i udawania wszelkiego, bo z Bożej myśli muszą mieć zaufanie do pomażaćca Bożego“.

Nic dziwnego, że potem bezmyślne tłumy społeczeństwa biorą udział we wszystkich szopkach prusko-patryotycznych, w rozmaitych obchodach sedańskich, rocznicach wilhelmowskich i nawet bismarkowskich....

Antynarodowy klerykalizm, wyzyskujący instynkta egoistyczne szlachty, opierającej się na ciemnocie politycznej masy chłopskiej — z jednej strony, a z drugiej — budząca się za ledwie i szukająca dopiero dróg właściwych samowiedza i samopomoc drobnomieszczaństwa i robotników — oto bilans polityczny Poznańskiego i Prus Zachodnich. Podobnież do pewnego stopnia przedstawiają się też stosunki na Górnym Ślązku, choć tam brak „wyższych“ warstw polskich nadaje stosunkom piętno bardziej demokratyczne i rokuje prędzysze wydostanie się ludu na drogę postępu i normalnego rozwoju.

#### IV.

Zupełne zniemczenie się szlachty i mieszczaństwa na Ślązku, wytworzyły tam stosunki zupełnie inne, aniżeli w pozostałych dzielnicach Polski.

Polak śląski, to typ całkiem odrębny, nie podobny nie tylko do polaka z Królestwa, albo z Galicyi, ale nawet z Poznańskiego. Odrodzenie narodowe w prastarej dzielnicy Piastowskiej datuje się od tak niedawna, że ta polskość, jaka cechuje świadomego swej narodowości ślązaka, musi dziwne wrażenie sprawiać na polaku z zakordonu. Chłop, albo robotnik śląski, który pod wpływem agitacji pism ludowych poczuł, że nie jest prusakiem, posługującym się gwara śląską, nie czuje jeszcze łączności z całym narodem polskim: cały dorobek cywilizacyjny narodu polskiego jest dla niego na razie czemś obcem jeszcze. Dopiero jednostki z pomiędzy Ślązaków stają się świadomymi polakami, ale liczba tych jednostek, jakkolwiek wzrasta nieustannie, jest jeszcze dotychczas bardzo ograniczona. Cała zaś masa, składająca w ostatnich czasach tak wymowne dowody swej polskości, de facto posiada jedynie świadomość swej odrębności od Niemców, która dopiero w na-

szych oczach przekształca się na świadomość narodową w całej pełni. Ślązak przywiązany jest do swego języka, języka swego broni do upadłego i w tej walce o język staje się z „ślązaka“ polakiem. Wzrastające prześladowanie polskości ze strony rządu pruskiego, oraz świeckich i duchownych germanizatorów z jednej strony, a podnoszenie się poziomowi cywilizacyjnego mas ludowych — z drugiej wpływają na przyspieszenie tego procesu. Jednakże niesłychanie trudne warunki, w jakich musi szerzyć się ruch narodowy na Ślązku, wykoszlawiają go niekiedy i nadają mu charakter dla rozwoju świadomości politycznej ludu wcale niepożądany.

Kiedy po anektowaniu Ślązka przez Fryderyka II do Prus, kraj ten został odłączony od dyecezyi krakowskiej i przydzielony do wrocławskiej, duchowieństwo, które teraz musiało się kształcić we Wrocławiu, poczęło się germanizować coraz bardziej. A duchowieństwo to było jedyną warstwą inteligentną, która zachowała język polski, gdyż szlachta i mieszczaństwo górnoślązkie było oddawna już zgermanizowane. Księża ci byli jedynymi przewodnikami ludu i posiadali wpływ olbrzymi na religijne rzesze.

Polityczny wpływ księży był oczywista jaknajgorszy, gdyż pracowali oni jedynie w kierunku utrwalania lojalności względem rządu, i doprowadzili w końcu do tego, że myśl o jakiejś opozycji stała się w oczach ślązaka czemś zdrożnym i haniebnym. Wskutek tego pod presją duchowieństwa lud ślązki aż do roku 1873 wybierał na posłów tak do Sejmu, jak i do nowego parlamentu niemieckiego przeważnie kandydatów rządowych, lub umiarkowanie liberalnych magnatów górnoślązkich.

Bismarkowski *Kulturkampf* zmienił te stosunki do niepoznania. Taktyka lojalności przez tyle lat usilnie zalecana z ambon, uległa zmianie radykalnej. Ponieważ magnaci, szlachta i zniemczone mieszczaństwo — jednym słowem żywioł niemiecki, stanął po stronie rządu, przeto księża musieli się oprzeć na ludzie polskim — chłopach i drobnych rzemieślnikach, całą duszą oddanych swym przewodnikom.

Pod naciskiem więc stosunków zewnętrznych duchowieństwo ślązkie zwróciło się do warstw ludowych, a pragnąc skaptować budzących się do świadomości chłopów<sup>1)</sup>, przyjęło do swego programu politycznego i obronę ich języka ojczystego. Utworzone

---

<sup>1)</sup> Pierwsze pismo polskie na Górnym Ślązku zostało założone już w r. 1848, a późniejsza działalność Karola Miarki wzniesła już do pewnego stopnia dążenia emancypacyjne górno-ślązaków.

podówczas centrum śląskie zwoływało wiece polskie, starało się o kandydatów, mówiących jako tako po polsku, a przede wszystkim dążyło do opanowania na swoją korzyść kierowanego wówczas przez Miarkę „Katolika“, cieszącego się wielką wziętością wśród ludu. Zapewniono „Katolikowi“ znaczne subsydia i w ten sposób uzależniono samodzielny dotychczas ruch polski od swojej polityki partyjnej.

Ruch polski poszedł na służbę interesów centrum niemieckiego przez cały czas *Kulturkampfu*. Jak dawniej pod wpływem księży lud polski na Górnym Śląsku przekształcił się na ultralojalne narzędzie rządu, tak teraz dzięki tym samym księżom związał ściśle swe interesa narodowe z interesami kościoła katolickiego tak, że w końcu te ostatnie zakryły i przygniotły tamte. Prawie we wszystkich okręgach górnośląskich kandydaci rządowi zostali pobici przez centrowców, umiejących pozyskać głosy polskie.

Dopóki trwała walka rządu z klerem, ten ostatni nie chcąc stracić poparcia ludu górno-śląskiego, jako tako bronił jego języka, ale z chwilą kiedy rząd przestał uważać centrum za wroga i kiedy pomoc ludu polskiego stała się mniej potrzebna, centrum powoli poczęło zmieniać front. Sympatye dla polskości u śląskich przywódców centrum stygły coraz bardziej, język polski usuwano coraz systematyczniej ze wszelkich zebrań publicznych, coraz otwarciej występowano przeciwko inteligencji polskiej, która poczęła napływać z Poznańskiego i Prus Zachodnich do miast śląskich.

Ta to inteligencya poczęła w ostatnich czasach odgrywać coraz to wybitniejszą rolę w ruchu śląskim i nadała mu zupełnie inny charakter.

Księża z centrum uważali polskości wyłącznie za środek w walce, za sposób ujęcia sobie ludu, i, jeśli bronili polskości, to wyłącznie w celu zachowania wpływu na lud. Ale polskości sama przez się była dla nich najzupełniej obojętną, a w miarę tego, jak przestawała być niezbędnym orężem w walce — stawała się poprostu nieprzyjemnym balastem.

Duchowieństwo górno-śląskie jest zniemczone całkowicie, tak, że na przeszło 600 księży — zdecydowanych narodowców możnaby wymienić zaledwie kilku; takich, którzy uważają się w głębi duszy za polaków, ale nigdy nie sprzeciwiają się najwyższej swej władzy we Wrocławiu — może kilkudziesięciu — najwyżej 100. Reszta — to otwarci lub zakapturzeni germanizatorowie.

Inaczej się przedstawia inteligencya, rej wodząca dziś w ruch narodowo-polskim na Górnym Śląsku. Wszyscy ci redaktor-

wie, lekarze, adwokaci i t. d. są z bardzo nielicznymi wyjątkami przybyszami z Wielkopolski, a więc polakami z tradycji i cywilizacji. Jako dla ludzi świeckich, sprawy wyznaniowe, odgrywające główną rolę u centrowców, nie posiadają dla nich takiej doniosłości. Natomiast sprawa narodowościowa jest dla nich nie środkiem, jak dla centrowców, ale celem.

Obok „Katolika“, pozostającego w ręku księdza, powstają inne pisma, wydawane już przez osoby świeckie: „Nowiny Raciborskie“ i „Gazeta Opolska“. Pisma te poczęły uderzać w ton czysto narodowy, nie licząc się z niezadowoleniem menerów centrowych. Postawa tych pism wpłynęła i na stanowisko „Katolika“, który z pisma centrowego przekształca się na opozycyjno-narodowe i występuje nawet przeciwko centrum, o ile zdradza ono popędy germanizatorskie.

Antagonizm pomiędzy centrum, a ruchem narodowym. kierowanym przez redaktorów „Katolika“, „Nowin Raciborskich“, „Gazety Opolskiej“, wzmacnia się coraz bardziej i w końcu doprowadzi do otwartego rokoszu.

Już podczas wielkiego wiecu katolickiego w r. 1890, kiedy centrum nie chciało zapewnić językowi polskiemu równouprawnienia, polacy na rozkaz swych pism, usunęli się od udziału w manifestacji katolickiej, a przywódca centrowy hr. Ballestroem publicznie radził: „*Die oberschlesischen Polen aufs Maul schlagen*“<sup>1)</sup>. Wkrótce potem nastąpiła głośna petycja 126.000 ślązaków do biskupa wrocławskiego o wstawienie się do rządu za przywróceniem języka polskiego w szkołach, co wywołało kampanię antypolską ze strony menerów centrowych. Rozpoczęła się walka podjazdowa po towarzystwach i ambonach. Prasa centrowa uderzyła na alarm, wskazując całej ojczyźnie niemieckiej na niebezpieczeństwo „agitacji wielkopolskiej“. W życiu codziennym bojkotowano każdego, kto się ośmielał wątpić o nieomyślności centrum. Zwłaszcza „Nowiny Raciborskie“, występujące bardzo ostro przeciwko centrum, stały się celem pocisków prasy centrowej.

Ale lud polski był już na tyle uświadomiony narodowo, że kampania ta nie mogła się skończyć jego porażką. Duch opozycyjny pism polskich potęgował się coraz bardziej, a wzburzenie wśród ludu wzrastało z dnia na dzień.

Nadszedł rok 1893, kiedy odbyło się owo pamiętne głosowanie nad wojskowym projektem rządowym. Górnoślązacy byli sta-

---

<sup>1)</sup> Ten sam hr. Ballestroem podczas Kulturkampf u dawał bardzo znaczne sumy na „Katolika“.

nowczo przeciwni projektowi, wkładającemu nowe ciężary na ludność pracującą. Pomimo to, posłowie centrowi, wybrani przez lud polski, jak hr. Ballestroem (poseł opolski), hr. Matuschka (prudnicki), hr. Reitzenstein (pszczyńsko-rybnicki) i t. d., głosowali za projektem, chociaż olbrzymia większość centrowców, rachujących się z opinią swych wyborców, projekt rządowy odrzuciła.

Pisma narodowo-polskie napiętnowały energicznie to lekceważenie woli wyborców i oburzenie zapanowało wśród całego ludu. Kiedy parlament został rozwiązany, i rozpisano nowe wybory, lud polski zmanifestował swą samodzielność i opozycyjność, oddając 23.000 głosów w okręgu bytomskim majorowi Szmuli, najbardziej znienawidzonemu przez centrum człowiekowi. W Raciborskiem kandydat narodowo-polski — p. Roboła, emerytowany nauczyciel, uzyskał 6000 głosów i przepadł jedynie dzięki temu, że centrum połączyło się z wolnokonserwatystami. W każdym razie wybory 1893 r. pokazały, że lud górnoślązki, umiejętnie poprowadzony, potrafi postawić się ostro-opozycyjnie.

Niestety, przywódcy ruchu narodowego nie potrafili utrzymać się na wysokości swego zadania. Pomimo, że masy ludowe były rozgoryczone w najwyższym stopniu, pomimo, że chwila do zupełnego oderwania się od centrum i założenia czysto-narodowej partii demokratycznej była najodpowiedniejsza — przywódcy się cofnęli przed krokiem tak radykalnym, i poczęli się starać o pogodzenie z centrum.

Ale lud górnoślązki okazał się energiczniejszym i bardziej wytrzymałym od swych przywódców. Pomimo lękliwej i chwiejnej polityki „Katolika“ względem centrum, wyborcy górnoślązcy raz po raz zrywali się przeciwko arystokratycznemu centrum i wybierali wbrew woli menderów centrowych, swych własnych przedstawicieli! w 1894 r. chłopą Strzodę, w 1895 r. mecenasa Radwańskiego. Gdyby kierownicy narodowców ślązkich zdobyli się na trochę energii, by otwarcie zerwać z centrum, mogliby już dotychczas wytworzyć w parlamencie zastęp narodowo-polskich posłów-ślązaków całkiem niezależnych od centrum. Ale niestety, zawsze w chwili stanowczej brakowało im tej energii, a posłowie wybrani przez lud wbrew woli centrum, z reguły wstępowali do tegoż centrum<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> O wstąpieniu posłów ślązkich do „Koła Polskiego“ nie może być mowy, gdyż ultrareakcyjne stanowisko tego ciała nie da się pogodzić z wolą ludu śląskiego. Zresztą „Koło Polskie“ wypiera się przy każdej sposobności swego stosunku ze Śląskiem. Wszakżeż dla jaśniewielmożnych panów z „Koła“, Śląsk, to kraj chamski — kraj chłopów i robotników.



Zdawało się, że przy wyborach r. 1898 dojdzie nareszcie do samodzielnego wystąpienia partii narodowo-polskiej, tem bardziej, że na krótko przed wyborami duchowieństwo śląskie rozpoczęło zajadłą kampanię przeciwko „Katolikowi”. Lud śląski był głęboko niezadowolony z panującego stanu rzeczy, burzył się przeciwko kandydatom centrowym i wyczekiwał tylko hasła ze strony „Katolika”, ażeby zwartym szeregiem poprzeć wystawionych przez niego kandydatów. Ale hasło to nie padło. „Katolik” uronił kilka skarg na niesprawiedliwość urzędowego niemieckiego centrum, zaznaczył, że kandydaci centrum są nieodpowiedni, ale na męski protest się nie zdobył.

Cóż mieli czynić zwolennicy „Katolika”? Wielka ich część, widząc takie niezdecydowanie swych prowodyrów dała się jeszcze raz użyć za narzędzie agitatorów centrum i poszła głosować na centrowców-niemców. Reszta jednakże nie dała za wygraną, i postanowiła głosować na tych, którzy w braku samodzielnych kandydatów z ramienia „Katolika” pociągnęli go jako nieprzejednani wrogowie centrum. I stała się rzecz niesłychana. Na Górnym Śląsku, w tej twierdzy katolicyzmu i klerykalnego centrum, padło 35.000 głosów na kandydatów socjalistycznych<sup>1)</sup>. Że nie były to głosy „socjalistyczne” w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale narodowo-polskie, antycentrowe, tego najlepiej dowodzi słabość agitacji socjalistycznej tak na Górnym Śląsku, jak i w całym zresztą zaborze pruskim.

Losy socjalizmu w zaborze pruskim są o tyle ciekawe i pouczające, że poświęcimy ich scharakteryzowaniu specjalny artykuł w jednym z następnych zeszytów „Krytyki”.

---

<sup>1)</sup> Przy wyborach 1893 r. cały Górny Śląsk dał tylko 4.582 głosy socjalistyczne: w tem okręg bytomsko-tarnowicki 258 (1898—7.958), katowicko-zabrzeński 646 (1898—9.829).



JANUSZ TRĄBCZYŃSKI.

## PRZYCZYNKI DO CHARAKTERYSTYKI SPOŁECZEŃSTWA ROSYJSKIEGO.

### I.

Z wzrastającym zaciekawieniem spogląda cały świat cywilizowany na państwo carów, którego znaczenie wzmaga się ciągle w stosunkach międzynarodowych. Jedni patrzą na Rosję jako na siłę antyrewolucyjną, która ma powstrzymać prądy demokratyczne zachodu; inni lubując się w utworach pisarzy rosyjskich, oczekują „nowych słów“ w nauce i sztuce; inni wreszcie zachwycają się zewnętrzną potęgą caratu.

Spoleczeństwo polskie w czasach ostatnich zaczęło się więcej interesować Rosją i rosyjanami. Wpłynęły na to przede wszystkim względy polityczne. Między Polakami jest jednak bardzo mało osób znających głębiej społeczeństwo rosyjskie. Dla tego też przypuszczam, że rozpowszechnienie wiadomości o tem społeczeństwie nie będzie bez pożytku.

P. Hannibal zapoznał czytelników „Krytyki“ z nędzą Rosyi, i twierdzenia swoje poparł całym szeregiem cyfr: zadaniem mojem zaś będzie scharakteryzować społeczeństwo.

Aby charakterystykę tę uczynić możliwie obiektywną, zaczniemy od historii. Pod jakimi wpływami wzrastało społeczeństwo rosyjskie?

Znakomity historyk Miliukow zaznacza słusznie w swych cennych „*Oczerkach po istorji russkoj kultury*“, że różnica między rozwojem społeczeństwa rosyjskiego a rozwojem społeczeństw zachodnio-europejskich na tem przede wszystkim polega, że w Rosyi państwo powstało i wzmocniło się przedtem nim zarysowały się i rozwinęły określone warstwy społeczne, na zachodzie zaś działo się odwrotnie. Przyczyną tej różnicy w rozwoju Rosyi i Zachodu były okoliczności zewnętrzne, które pchały gwałtownie Ruś do organizacyi państwowej ściśle centralistycznej. Drużyna książęca, zarodek szlachty rosyjskiej zmieniała często swych panów, przechodząc z jednej dzielnicy do drugiej. Skutkiem tego nigdzie nie osiadając stale, nie wyteęzała swych sił w walce z władzą książęcą, nie mogła się zagospodarować, a tem samem nie była zainteresowaną w tem, aby dążyć do zaprowadzenia ładu w stosunkach ekonomicznych państwa, aby ograniczyć samowolę książąt w tej sferze.

Już przed napadem Tatarów na dzielnicę Włodzimierską, nad rzeką Kłazmą położoną, zauważyć można tendencje absolutystyczne.

Linia książąt ruskich, która się nad Kłazmę przeniosła, odrazu stała się silniejszą przez to, że oddalając się od miejscowości, gdzie wiece były jeszcze potęgą, wyswobodziła się z pod wpływu tych instytucyj ludowych. Napad Tatarów wpłynął bardzo silnie na te pierwotne zarodki absolutyzmu. Władza tatarska nie tylko działała jako przykład na Rusi; w własnym interesie wspierała ona wielkiego księcia, przy którego pomocy łatwiej jej było ścigać daniny i korzystać wogóle z uległości innych książąt drobniejszych.

Sama religia również była potężnym sprzymierzeńcem absolutyzmu. Ze wszystkich religij chrześcijańskich prawosławie najwięcej domaga się bezwzględnego posłuszeństwa dla monarchy.

Wówczas, kiedy Ruś przyjęła religię z rąk Bizancyum panowały w tem państwie wykończone teorye o władzy cesarskiej, teorye jak najbardziej przyjazne dla absolutyzmu. Z chwilą upadku cesarstwa bizantyjskiego duchowieństwo prawosławne zaczęło dowodzić, że Moskwa jest trzecim Rzymem, a prawa cesarza wschodniego państwa rzymskiego przechodzą drogą naturalną na władców Moskwy.

Charakterystycznym jest, że wtedy, kiedy na Zachodzie walki religijne wiązały się jaknajściślej z dążnościami reformatorskimi w polityce i sprawach społecznych — w Rosyi odszczepieństwa od prawosławnego kościoła urzędowego nie pocięgały za sobą żadnych skutków politycznych. Odszczepieńcy stawiali tylko opór bierny. Woleli masowo ginąć w płomieniach, podpalając domy w których się mieścili, niż walczyć w imię zdobycia wolności sumienia.

Czytając drobiazgową historję S o l o w j o w a doznaje się dziwnego wrażenia. Wskazuje ona, że kiedy w innych państwach wcześniej już spotykać się dają różne walczące ze sobą partye, dążące do przekształcenia instytucyj, w Rosyi widzimy tylko walczących ze sobą dygnitarzy, po za którymi stoją ich zwolennicy: po za ludźmi nie ma tu instytucyj. Wprawdzie i w czasach nowszych wszędzie zdarzają się walki przeciw ludziom wybitnym, ale walka taka ma na celu pewne zmiany państwowe, którym sprzeciwiają się owe jednostki. W Rosyi zaś do XVII wieku nie spotykamy dążeń świadomych, mających na celu przeobrażenie społeczeństwa, zdobycie przywilejów dla całych warstw.

Jedna jeszcze okoliczność przyczyniła się do tego, że w Ro-

syi nie było buntów, mających charakter rewolucyj politycznych i społecznych.

Ogromne przestrzenie otaczające państwo moskiewskie, przestrzenie słabo zaludnione i nie należące do nikogo, nęciły wszystkich niezadowolonych do uciekania z państwa tego i kolonizowania tych właśnie niepodległych dotąd obszarów. W ten sposób wytwarzał się pewien dobór społeczno-polityczny: ludzie pokorni zostawali, buntownicy zaś uchodzili.

Rząd moskiewski przytwierdził różne warstwy społeczne do różnych zajęć. Szlachta musiała służyć już to w wojsku, już to w służbie cywilnej, za co dostawała posiadłości ziemskie wraz z chłopami. Chłopi byli przykuci do ziemi. Bogatsi kupcy byli obowiązkowo przenoszani do stolicy, gdzie dawano im zajęcie przy zbieraniu podatków.

Rozpowszechnionem jest zdanie w Rosyi, nawet w sferach radykalnych, że położenie chłopu rosyjskiego miało być znacznie lepszym niż chłopu polskiego.

Pogląd ten nie wytrzymuje krytyki; niezawodnie żył on względnie lepiej, niż chłop rosyjski — mamy tu na myśli chłopów będących w posiadaniu właścicieli prywatnych. Zarówno w Polsce, jak i w państwie rosyjskiem pan posiadał władzę nad chłopem nieograniczoną; z drugiej strony jednak w Polsce chłop wolnym był od służby wojskowej, która była bardzo uciążliwą dla chłopu rosyjskiego.

Co zaś do chłopów „państwowych“ to los ich w Rosyi mógł być lepszym tam tylko, gdzie władza ta faktycznie nie sięgała. W większości zaś wypadków olbrzymie podatki, nadużycia niczem nie krępowanych urzędników, wreszcie roboty publiczne — przytłaczały chłopstwo okropnie. W państwie moskiewskiem istniało prawo barbarzyńskie, zupełnie u nas nie znane: jeżeli pan posiadający chłopów miał długi, których nie mógł zapłacić; brano poddanych jego i bito ich, dopóki dłużnik nie zapłacił należnej sumy. Czyniono to w nadziei, że nie będzie chciał się narażać na stratę poddanych, którzy mogliby zginąć pod batogami\*).

W państwie moskiewskiem istniały czas jakiś tak zwane ziemskie sobory: były to zjazdy złożone z wojskowych, urzędników, a poczęści deputowanych, miały one jednak charakter tylko doradczy: zwoływano je rzadko. Ditiatyn i inni historycy rosyjscy przy-

---

\*) Szczegóły o tej sprawie czytelnik znajdzie u prof. Siergiejewicza w dziele p. t. „*Lekcje istorji ruskawo prawa*.”

taczają ciekawe fakty nieśmiałości i bezmyślności uczestników soborów. Często bardzo na zapytanie carów, co należy przedsięwziąć, sobór odpowiadał: „to co uważa za stosowne car“.

W państwie moskiewskim wszyscy byli poddanymi. Nie było ani jednej warstwy społecznej mającej jakieś gwarancje wolnościowe. Bito tak dobrze chłopów, jak i dygnitarzy. Niepewność jutra i wynikająca z niej obawa, zmuszały społeczeństwo rosyjskie do zamykania się w sobie; stąd skłonność do mistycyzmu, do pijactwa i rozpusty. Wszystko to dawało ujście siłom nie mogącym przejawiać się w szerszym życiu społecznym.

## II.

Dobrze — powiedzą nam może — wszystko to odnosi się do Rosyi starej. Młoda Rosya jest zupełnie inną. Od Piotra Wielkiego cywilizacja europejska dostała się do państwa carów, i na nowym dla siebie gruncie wspaniale wydała owoce.

Zdania podobne często słyszeć można u nas, od ludzi nie stykających się bezpośrednio ze społeczeństwem rosyjskiem, i sądzących o niem z najlepszych utworów literackich i naukowych, napisanych przez rosyjan.

Lecz sąd ten jest mylny: reformy Piotra Wielkiego były czysto zewnętrzne; wzmocniły one nawet władzę absolutną.

Reformy Aleksandra II były głębsze, ale absolutyzm pozostał nietkniętym, owszem otoczyły go one aureolą postępowości.

Jak absolutyzm zrosł się z naturą rosyjan i jaką mają obojętność dla wolności politycznej widać doskonale we wszystkich kierunkach myśli rosyjskiej.

Koło czterdziestego roku, kiedy „słowianofile“ i „zachodowcy“ tworzyli swe programy, jedni i drudzy nie rozumieli, że absolutyzm jest główną przeszkodą w ich rozwoju. Słowianofile pogardzali parlamentaryzmem, i w absolutyzmie posługującym się ziemskim soborem, jako instytucją doradczą, widzieli zbawienie, chętni się prawosławiem i gminą wolną, opartą na zasadach własności wspólnej.

Zachodowcy chcieli instytucyj europejskich, ale widzieli tylko to, że Rosya nie miała feudalizmu i arystokracji, że więc jej łatwiej będzie przyjąć instytucje postępowe.

W Rosyi wytworzył się specjalnego rodzaju demokracja a nawet radykalizm carski. Jego zwolennicy łączą żądania daleko bardzo idących reform społecznych z obojętnością

względem wolności politycznej. Niektórzy nawet idą dalej, i dowodzą otwarcie, że absolutyzm powinien być utrzymany dla dobra ludu. Tak dowodzi np. znany ekonomista W. W. (*Woroncow*) w książce swej p. t. *Naszi naprawlenija*. 1893.

Ktokolwiek zna radykalną nawet prasę rosyjską, ten na każdym kroku spotka ustępy serwilistyczne względem rządu. Znany ekonomista rosyjski *Iwanukow*, którego podręczniki tłumaczone były na język polski, drukował przed laty kilkunastu w „*Otieczestwiennych zapiskach*“, organie bardzo radykalnym — dzieło o uwłaszczeniu włościan, w którym twierdzi, że spornem jest jaka forma rządu lepszą jest dla ludu: absolutyzm, czy parlamentaryzm; a domaga się tylko wolności prasy.

Nawet w sferach rewolucjonistów rosyjskich spotkać można sympatyę dla absolutyzmu. Hercen chwilami zachwycał się Aleksandrem II. Jeżeli wziąć długi przeciąg czasu, w którym odbywała się walka rewolucyjna do dni dzisiejszych, to okazuje się, że nigdy nie prowadzono agitacji masowej na korzyść wolności politycznej. „*Narodnaja Wola*“ przez krótki czas swego istnienia (1878—1883) wywiesiła sztandar wolności politycznej, ale i tu były pewne zastrzeżenia, bo jedni chcieli przeprowadzić reformy drogą konstytucyjną, inni zaś chcieli pochwycić władzę państwową w swe ręce i reformy społeczne narzucać z góry.

Kiedy po upadku tej partii powstał po pewnej przerwie ruch socjalistyczny, to cechą jego zasadniczą było to, że nie miał on charakteru politycznego. Gdy w całej Europie socjalna demokracja w przeciwstawieniu do utopistów zaznaczała swój polityczny charakter — w Rosji miała ona w stosunku do ruchu poprzedniego wybitnie charakter antypolityczny. Wprawdzie kółko emigrantów rosyjskich mieszkających w Szwajcaryi i zeuropeizowanych pragnęło szczerze walki politycznej — nie prowadziły jej jednak organizacje krajowe.

Dziś nawet między rosyjskimi socjalistami nie ma zupełnej zgody co do walki o wolność polityczną. Jedni pragną jej, inni jej się opierają. Ci ostatni zadawalniają się takimi frazesami: że każda walka ekonomiczna jest jednocześnie polityczną, gdyż oznacza siłę proletaryatu. W ten właśnie sposób postawioną jest kwestya w jednej np. z najświeższych broszur p. t. *Sowremiennaja Rossija*. W pracy tej autor po za strejkiem nic już nie widzi.

Aby nas nie posądzono o gołosłowność, zacytujemy jeszcze wydawaną nielegalnie gazetę „*Raboczaja myśl*“, w której kwestye polityczne stoją na ostatnim zawsze planie.

Oprócz długiej niewoli, w Rosyi jedna jeszcze okoliczność wpłynęła na obojętność w sprawie konstytucyi. Kiedy społeczeństwo rosyjskie zaczęło myśleć politycznie, parlamentaryzm europejski wykazał już wszystkie swe wady; otóż społeczeństwo rosyjskie skutkiem braku politycznego zmysłu i wykształcenia, skutkiem braku wszelkiego poczucia historycznego — zaczęło lekceważyć parlamentaryzm, zastanawiać się nad jego wadami, nie oceniając jego zalet.

Brak miejsca nie pozwala mi cytować wielu wybitnych pisarzy rosyjskich, którzy odzywali się lekceważąco o politycznej wolności nazywając ją „wolnością umierania z głodu“. Dziś jeszcze nie ma żadnej partyi politycznej, któraby chciała podjąć prawdziwą walkę polityczną. Wprawdzie w 1894 roku zorganizowała się grupa tak zwanych „N a r o d o - p r a w c ó w“. Grupa ta wydała kilka broszur, a w jednej z nich p. t. „*Nasuszcnyj Wopros*“ zaznaczyła, że polityczna swoboda jest najważniejszą potrzebą społeczeństwa rosyjskiego. Po za tem jednak, nie tylko grupa ta walki politycznej nie prowadziła, ale nie miała żadnego wyobrażenia o taktyce. Obecnie grupa ta jest rozbita.

W całym powyższem rozumowaniu mieliśmy tylko na uwadze żywioły wogóle postępowe, to jest: liberałów, radykałów i socyalistów. Po za nimi jednak jest ogół ciemny, utrzymywany w zabobonach politycznych przez takie pisma jak np. popularny *S w i e t*.

Lekceważenie walki politycznej jest jednym z objawów niechęci do cywilizacyi wogóle, — to jest do takich form obyczajowych, które zwykle na zachodzie łączymy z tym wyrazem.

Ponieważ Rosya odcięta była od Europy przez długie wieki, ponieważ oświata była bardzo nieznaczna, a obyczaje barbarzyńskie — nic więc dziwnego, że rosyanie nie zżyli się jeszcze z cywilizacją europejską, i czują do niej instynktowny wstręt. Klasy wyższe w Rosyi różniły się od niższych majątkiem i stanowiskiem, umysłowość ich była prostacza. Zamiłowania do rozkoszy umysłowych i artystycznych klasy wyższe w Rosyi nie miały w wiekach ubiegłych. To co nazywamy inteligencją, w Rosyi istnieje bardzo niedawno. Stąd też mało tam jest stosunkowo osób, dla których np. delikatność obyczajowa, umysłowe i artystyczne potrzeby byłyby czemś w życiu niebędnem. Na dnie duszy rosyjskiej spoczywa zawsze prawie prostactwo uczuciowe i umysłowe.

Kiedy w Rosyi zaczął się ruch demokratyczny po reformie włościańskiej i pod wpływem życia zachodnio-europejskiego, przyjął on odrazu szczególne zabarwienie.

Przedewszystkiem ludowcy rosyjscy zaczęli naśladować chłopów; powstała cała literatura, w której dowodzono, że inteligencya powinna przejąć ideały ludu wiejskiego jako wyższe; w ten sposób zamiast podnieść lud do cywilizacyi, zaczęto marzyć o zlaniu się z ludem. Ruch ludowy w Rosyi nosi też zupełnie inny charakter niż gdzieindziej.

Ruch ten dla inteligencyi rosyjskiej był pewnego rodzaju powrotem do prostactwa, naiwności i barbarzyństwa. Wszystkie instynkty prostacze, nieco powstrzymane przez cywilizacyę, w ruchu ludowym znalazły ujście, jakkolwiek ruch ten począł się z motywów altruistycznych.

Ludowcy rewolucyoniści nienawidzili nietylko rząd, szlachtę i burżuazyę. Wstrętną im była również cywilizacya miejska, z fabrykami, sztuką i nauką. Marzyli o zniszczeniu jej, dowodząc, że jest ona burżuazyjną.

Kierunek ten nie trwał zbyt długo, w każdym jednak razie pozostawił po sobie liczne ślady. Dziś jeszcze między socyalistami rosyjskimi spotkać można ludzi dowodzących, że formy towarzyskiej grzeczności są zbyteczne, że jeść należy potrawy proste a nie „burżuazyjne“, że trzeba się zajmować pracą fizyczną itd.

Jeżeli zwrócimy uwagę na poglądy Tolstoj a, które niedawno jeszcze były tak popularne w Rosyi, to na każdym kroku napotykamy nienawiść do cywilizacyi, idealizowanie prostactwa, pracy fizycznej, ascetyzmu i t. p.

Despotyzm rosyjski odbił się fatalnie na charakterze ludzi.

Między rosyjanami poczucie wolności osobistej słabo jest rozwinięte nietylko w stosunku do władzy, ale nawet w stosunkach wzajemnych ludzi prywatnych. Ponieważ rząd mieszał się do wszystkiego, rosyjanie więc przyzwyczaili się do niedyskrecyi i sami mieszają się do spraw prywatnych tego rodzaju, które ich obchodzić nie powinny. W zetknięciu się z ludami barbarzyńskimi, jak np. z Jakutami, rosyjanie bardzo prędko pozbywają się swej kultury.

Wielki ucisk doprowadzić musi po długich wiekach do bierności, która zaznacza się nie tylko przez brak protestów czynnych, ale jeszcze przez propagandę znoszenia spokojnie przejawów złego, przez doktrynę o pożytku cierpienia.

U Tolstoj a doktryna niesprzeciwiania się złemu za pomocą siły fizycznej przyjęła formy wykończzone. Dostojewskij zaś często zaznacza potrzebę cierpienia, które ma doskonalić ludzkość.

U radykalistów rosyjskich dziś nawet często spotyka się roz-



dwojenie psychiczne: z jednej strony chcieliby oni zamienić ustrój społeczny na lepszy, z drugiej zaś teoretycznie, często zaś i praktycznie występują przeciwko korzystaniu z nabytków wyrafinowanej cywilizacji.

Mówiliśmy już, że Rosjanie mają nieprzepartą skłonność do zagłębiania się w zagadnienia etyczne i metafizyczne. Dla Europejczyka etyka tkwi przede wszystkim w życiu społecznym, w tem aby czynić życie ludzkie lżejszem, przez dążenie do odpowiednich zmian w instytucjach społecznych. Dla Rosjanina etyka jest czemś oderwanem od społeczeństwa, jakimś doskonaleniem się wewnętrznym w wysokim stopniu nieokreślonym.

Nigdzie tyle nie mówią o moralności co w Rosji, i nigdzie życie społeczne nie jest tak zabagnione pod względem etycznym jak tam właśnie. W znacznym stopniu ta dążność do moralizowania jest nieszczerą i służy za maskę usprawiedliwiającą obojętność polityczną. Znakomity socjolog rosyjski M a k s y m K o w a l e w s k i j, którego niepodobna posądzić o brak patriotyzmu, na jednym ze zjazdów socjologicznych zaznaczył otwarcie, że z bólem serca wyznać musi, iż społeczeństwo rosyjskie żyje jeszcze — używając terminologii Comte'a — w metafizycznej fazie rozwoju, i że nie dorosło jeszcze do pozytywnego myślenia.

W Rosji ciągle tłumaczą mnóstwo dzieł autorów zachodnich; pomimo to jednak nigdzie nie koszlawią tak wielkich myślicieli, jak w Rosji. Ciekawem byłoby studjum poświęcone obrazowi skrzywieniu myśli europejskiej w Rosji.

### III.

Obrońcy Rosji twierdzą często, że objawy niewoli były wszędzie, że te cechy ujemne, które przypisujemy Rosjanom nie są specjalną ich właściwością.

Zapewne: wszędzie są źli i dobrzy, ludzie z godnością i bez niej, chodzi tylko o to jaki typ w danym społeczeństwie przeważa.

Ale jeżeli przeszłość i teraźniejszość Rosji przedstawiają się tak smutno, to czyż mamy przypuszczać, że i przyszłość jej będzie również beznadziejną?

Nie chcemy się bawić w fantastyczne przypuszczenia, co będzie przedstawiać Rosja za 100 lub 150 lat, lecz idzie nam o najbliższą przyszłość tego państwa; w przypuszczeniach więc naszych stać musimy na gruncie realnym i brać za punkt wyjścia te siły społeczne, które dziś w Rosji działają. Rozpatrzmy je więc.

Władza cesarska opiera się na licznej biurokracyi, zainteresowanej w istnieniu absolutyzmu, który gwarantuje jej bezkarność w nadużyciach.

Ale biurokracya nie jest jedyną podporą tronu. Chłop rosyjski jest ciemny, wierzy w cara jak w Boga. Nie jest on wprawdzie taki głupi, aby nie widzieć wad obecnego ustroju, ale wady te przypisuje urzędnikom, wierząc że car życzy mu jaknajlepiej. Pod względem politycznym nikt chłopu rosyjskiemu oczu nie otwiera obecnie, tem bardziej, że znaczna część jego przyjaciół skutkiem ciasnoty politycznej wierzy w cara, jak on sam.

Car ma armię liczną złożoną z najróżnorodniejszych żywiołów narodowo-kulturalnych. Armia ta jest umiejętnie w państwie rozlokowana: w Warszawie stoją rosyanie, polacy stoją częściowo na Kaukazie, częściowo w Rosyi i t. d.

Szlachta rosyjska nigdy nie miała dużego znaczenia. Dziś tem bardziej nic nie może nas zniewolić do przypuszczenia, że wkrótce zechce ona ograniczyć władzę cara.

Burżuazya — twierdzą niektórzy — z czasem zażąda kontroli nad wydatkami państwa, i w ten sposób powstanie konstytucya w Rosyi.

Otóż zauważyć należy, że niema państwa w Europie, w którym burżuazyi byłoby tak dobrze jak w Rosyi. Nigdzie kapitał nie daje tak wysokiego procentu jak w państwie carów, nigdzie robotnik nie jest tak potulny, a władze skłonne do trzymania strony kapitalistów, jak w Rosyi. Wobec tego zachodzi pytanie, poco burżuazya rosyjska ma ograniczać absolutyzm i w ten sposób osłabiać siłę odporną wobec socjalizmu? Jeżeli burżuazya we Francyi mimo swych świetnych tradycyj rewolucyjnych pod wpływem „czerwonego widma“ zgodziła się na absolutne rządy Napoleona III, — to skąd mamy prawo przypuszczać, że burżuazya rosyjska zacznie walkę z absolutyzmem dla wątpliwych korzyści? Zresztą przypuściwszy nawet, że wbrew naszym przewidywaniom burżuazya zechce walczyć z absolutyzmem — zachodzi jeszcze pytanie jak będzie walczyła? Jaki będzie mechanizm tej walki, skąd weźmie siły odpowiednie?

W zachodniej Europie często bardzo sprawa emancypacji włościan łączyła się z walką o wolność polityczną; w Rosyi reforma włościańska uskutecznioną została przez cara w 1861 r. Dla tego też w Europie walka o konstytucję była więcej nateżoną, niż mogła by nią być w Rosyi. Papierowa zaś walka polegająca na petycyach w państwach absolutnych nie ma żadnego znaczenia.

Ale może socjaliści rosyjscy w niedługim czasie zdobędą wolność polityczną?

O tem wątpić należy najpierw dlatego, że nie uświadomili oni sobie wszyscy konieczności tej walki; po drugie zaś dlatego, że klasa robotnicza według najkorzystniejszego rachunku wynosi 3 miliony rozproszone po olbrzymich przestrzeniach państwa. Cóż znaczy ta cyfra wobec 130 milionów ludności?

Prawda, że w stolicy jest przeszło 100.000 robotników, ale jest też dużo wojska, które na pewno nie przejdzie na stronę ludu w chwili stanowczej, gdyż poziom kulturalny Rosji jest zbyt różny w różnych jej miejscach, a psrokacizna narodowości zbyt duża.

Co zaś do strejków i demonstracji majowych, to tylko dzieci mogą wierzyć, aby mogły one ograniczyć władzę cara.

Pozostaje więc nieokreślona wiara rosyjskich pseudo-marksyistów, że kapitalizm w dalszym swym rozwoju doprowadzi do konstytucji. Wiara taka może być przedmiotem teologii socjalistycznej, niczem więcej.

Gdzież więc są te siły społeczne, które wyprowadzą państwo rosyjskie z niewoli? Może propaganda moralna kilku sekt i inteligentnych maniaków to uczyni?

Nie! w Rosji współczesnej nie ma sił społecznych do jej odrodzenia! Trzeba mieć odwagę powiedzieć to sobie, aby nie mieć żadnych złudzeń.

Dziś tylko obce narodowości wciągnięte w jarzmo rosyjskie przedstawiają siłę opozycyjną w państwie.

Zawikłania międzynarodowe jedynie — już to na Wschodzie, już to na Zachodzie — zakończone wojenną porażką Rosji mogą pchnąć to państwo na drogę przekształceń politycznych, bo prawdziwej walki politycznej prowadzonej przez rosyjan w państwie carów tak prędko nie będzie. Długo jeszcze socjaliści rosyjscy będą sobie łamali głowę nad teorią wartości, kwestyą rynków zewnętrznych w teorii; nad stworzeniem kas oporu, oraz nad wystrzeganiem się prowokatorów — w praktyce. Długo jeszcze ludowcy i inni postępowcy zastanawiać się będą nad tem, czy parlamentaryzm, czy absolutyzm demokratyczny lepszym jest dla ludu.

Długo jeszcze rosyjanie sprzeczać się będą, czy moralnie jest pić i jeść po burżuazyjnemu.

JÓZEF JEDLICZ.

Z POEMATU: BAŚŃ WIEKU.

BŁĘDNY OKRĘT.

Po szarej, mętnej wód głębinie  
 Błędny, samotny okręt płynie.  
 Na nowe coraz mknie odmęty;  
 Ster chwiejny ugiął się i pękł!  
 Huczy posepnie żagiel wzdęty,  
 Wiatr huczy w jeden smutny jęk.  
 Starzy żeglarze, twarz wybladła,  
 Gdy im znajomy niknie ląd,  
 Chylą w burzliwe mórz zwierciadło  
 Zwichrzone w śnieżny wir i prąd,  
 I wzrok, skąd wieje rozpacz blada,  
 Drżąc — topią wśród bezkresnych wód,  
 A wiatr im głucho odpowiada  
 I krew w ich żyłach ścina w lód.  
 Więc potruchleli — tonąc w łzach —  
 Schylają czoła beznadziejne  
 Na wiry kręte i rozchwiejne,  
 Gdzie własny widzą blady strach...  
 Tymczasem majtków orszak młody  
 Radośnie z burzą mknie w zawody,  
 Z kwieciem na czole z pełną czarą  
 Bez żalu rzuca ziemię starą  
 I śmiechem głuszy wichru śpiew  
 I trwożny świergot białych mew.  
 Świat cały zda się zabrzmiał śmiechem,  
 Ocean grzmiałem zagrał echem!  
 Nurt wciąż się pieni: z jego wnętrza  
 Zrywa się burza wciąż zaciętsza.  
 W oddali niebotyczna fala,  
 W góry się piętrzy i przewala  
 Z rozgłośnym szumem się rozpryska  
 W śnieżyste turnie i urwiska.  
 A w dole huczy odmęt czarny,  
 Niby łkający róg pożarny!  
 W mrocznej rozlewa się przełęcz,

W ciemności niby szatan jęczy.  
 Wiatr pędzi z świstem nurt spieniony,  
 Mętne bałwany wartko niesie ;  
 To smętne rozplakane dzwony  
 Po ciemnym zda się mkną bezkresie !  
 Noc grozy, noc bezdennie smutna,  
 Wokół piekielny tłumi wrzask,  
 Tylko latarni krwawy blask  
 Oświeca statku szare płótna  
 I krwawo pławi się w bezdeni  
 I otchłań grozy - krwią rumieni.  
 A błędny okręt w świat nieznany  
 W dal straszną bez pamięci mknie,  
 Aż skrzypią statku wątle ściany,  
 Złowieszcze echa skrzypią w mgle...  
 W coraz straszliwsze mknie rozchwieje,  
 Śród dzikszych błądzi wciąż bezbrzeży.  
 Starym żeglarzom myśl drętwieje,  
 Na siwych czaszkach włos się jeży.

Więc łkają: »Wielki ojców Boże  
 Przecz nas pochłoną paszcze wód !  
 Zlituj się, w dzikie mknieniem rozdroże...  
 Tutaj nas jeden zbawi cud —  
 O wielki ojców naszych Boże!  
 Biednych, zgłodniałych trud i ból  
 Wygnał z ojczystych łąk i ról  
 I głupcy szliśmy w nowe światy:  
 W tę otchłań śmierci i zraty!  
 Lecz zlituj się o Boże święty,  
 Wyrwij z tych piekieł naszą łódź:  
 Odsłoń pogodne firmamenty  
 I do ojczyzny cało wróc,  
 O Wiekuisty, Niepojęty !...«

A młódź z szyderstwem w twarz im ciska :  
 »Hej, w dal! na dzikie uroczyśka...  
 Hej, w dal, przez szlaki lećmy sine,  
 Na nową, nowych bóstw dziedzinę!  
 Choć wokół groza, noc i strach,  
 Kłębią się w nieprzebity mrok,

Niech starcy w marnych toną łzach,  
 My w dal wyteżmy orli wzrok!  
 Wre morze: od nadbrzeżnych miast  
 Sto mil nas dzieli — wir i prąd —  
 Do opuszczonych starych gniazd  
 Ni echo nie doleci stąd...  
 Więc z burzą w dal, na prąd wezbrany!  
 Kiedy beczynnice bóstwa drzemią,  
 Pędzimy ku nowym lepszym ziemiom!  
 Czas łask i cudów minął już,  
 A gdy okrętu runą ściany,  
 Uśniem na wieki w pianach burz...

.....

Po szarej, mętnej wód głębinie  
 Błądny, samotny okręt płynie.  
 Płynie ku wschodnim kędyś stronom  
 Toń prując pierśią ocaloną.  
 Łkający wichry milknie w dali,  
 Cichną ostatnie dąsy fali.  
 Na wschodzie biała zorza świta  
 W mgły rozplakana, złotolita.  
 Jak biała nimfa, w wieńcu róż,  
 Senna, stęskniona wstaje z mórz;  
 Wokół promienną wstrząsa skronią  
 I rzuca w morze złote kwiaty  
 I przezroczystą śnieżną dłonią  
 W jasne, perłami tkane szaty,  
 Ubiera w krąg posępny świat.  
 I złotem płoną wodne garby!  
 W głębi zielonej, chłodnej fali  
 Lśni świetną wstęgą żar koralu,  
 Niby Sezama tajne skarby.  
 Żeglarze drżący, rozmarzeni  
 Patrzą po modrej wód bezdeni.  
 Żagle zefirem kołysane  
 Chwieją się niby drżąca struna  
 Harfy — łódź pruje śnieżną pianę,  
 Przed statkiem fala srebrnoruna  
 Niby spłoszony łabędź mknie  
 Po oceanu modrem tle.

A w dali, w złotym zórz dyademie,  
 Nowe promienne błyszczą ziemie;  
 Słoneczne lądy coraz bliżej,  
 Coraz wspanialej wstają z mór —  
 I okręt sunie coraz chyżej  
 I wita łańcuch jasnych wzgórz.  
 Biłą się kwietnych łąk ostrowy  
 I w złotej ciszy szumią w rytm  
 I słycać szepty dziwnej mowy  
 I widać orszak nagich widm.  
 Ponad roztocze śnieżnej wody  
 Przepięknych dziewic chorowody  
 W zielonych wiją się cyprysach,  
 A morze pragnień gra w ich rysach.  
 Płają w srebrnym wieńcu skał,  
 Wijąc się nagą wstęgą ciał.

O biedni żeglarze!  
 Z puhaem i pieśnią  
 Witamy was w ziemi tej złotej.  
 Witają was łąki  
 I niebios namioty  
 I wiecznie kwitnące ogrody rozkoszy...  
 Tu troski w dziewiczych objęciach się prześnią,  
 Tu burza ni ciemność upojeń nie spłoszy.  
 Strudzeni żeglarze —  
 Tu kraj wasz wyśniony  
 Kwiecistem wezgłowiem  
 I wieczną was nęci młodością i zdrowiem!  
 A niema tu bolu, a niema tu łez.

. . . . .  
 Tak wabi słodka dziewic pieśń.  
 Jak sen znikomy wszelka trwoga  
 Skryła się gdzieś w błękitną toń.  
 I starcy w niebo wznoszą dłoń  
 Wpatrzeni w dziewic chorowody  
 I dumnych majtków zastęp młody —  
 Hymnem dziękczynnym wielbią Boga:

»Oto On w ziemię obiecaną  
 Wprowadził naszą łódź zbłąkaną,

Ziszczony sen Wasz... Waszą dzielność  
 Chwałą uwieńczy nieśmiertelność...  
 Więc zwińcie żagle, giętkie wiosła  
 Niechaj zastąpią ster strzaskany,  
 Aby nas fala nie uniosła  
 Na nowe wiry i bałwany».

.....

Po krwawozłotej mórz głębinie  
 Błądny, samotny okręt płynie.  
 Na nowe nurty wciąż się wspina  
 I śmiałem skrzydłem nurt przecina.  
 Starcy schylają skroń wybladłą  
 Nad tajemnicze mórz zwierciadło  
 I topią beznadziejne oczy  
 W seledynowej wód roztoczy.  
 A okręt mija złote kraje,  
 Mija wabiących orszak dziew,  
 I szumią głośnie wód rozstaje,  
 I brzmi potężny majtków śpiew:

»Żądy, co w sercach naszych wre  
 Nie starczą młodych dziew ponęty,  
 Ni raje w złotej lśniące mgle...  
 Więc w dal, na nowe wód odmęty!  
 Jak tajemniczo szepcą wody,  
 Jak dziwnie szumi odmęt siny,  
 Jakby zwiastował nowe wschody,  
 Piękniejsze nieba i krainy.  
 Tam wizya szczęścia błędna, drżąca,  
 Barwniejszą tęczę może lśni,  
 Może cudniejsze wstają dni,  
 Jaśniejsze jeszcze wschodzą słońca.  
 Więc póki szumi prąd wezbrany  
 I szumią smętne oceany  
 I szepcą cicho modre fale —  
 Dopóki nieodkryte dale  
 Tajemnic czarem nęcą wciąż,  
 Ty wiecznie walcz i naprzód dąż!



## MŁODA POLSKA,

## VII.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Kochany panie Andrzeju! „Legendy“ wasze przeczytałem natchmiaszt, skoro ręk moich doszły: jedną w tym zeszycie „Krytyki“ znajdziecie — nie zaspalem więc spraw waszych.

Pytacie mię o zdanie — odpowiem zatem szczerze. Jestto dla mnie niewątpliwie najpiękniejsza rzecz, jaką dotąd prozą napisaliście. Mieliście genialny pomysł, aby tchnąć krew i życie w postaci, które stały się dziś eterycznymi symbolami tylko, a przecież niegdyś żyły, cierpiały — krwią i ciałem. Próbował tego Renan; ale on pisał historią, a wy tworzycie poezją; dlatego on nie miał racyi, a wy ją macie. W waszych „Legendach“ schwyciliście doprawdy kawał nieba w dłonie, przynieśli na ziemię i zmusili, aby napowrót przyrósł tu do nas i ziemią się stał. Znieśliście granicę między ziemskim i niebieskim, a czytelnik, który idzie za wami, nie opuszcza ziemi ani jednej chwili i nagle — znajduje się w sferach niebieskich. I oczywiście, pełne zachwytu zdumienie go ogarnia, a dla przewodnika swego wdzięczność ma i podziw.

Tak, panie Andrzeju, otoczyliście się poszumem gajów oliwnych i rozhoworem rybaków galilejskich; miast słuchać swarów spodlonego dziennikarstwa i codziennej nędznej polityki — zasiadaliście na obradach faryzejskich w Jerozolimie, gdzie cyniczny Suten, niby szatan-kusiciel, wywodził, jako chciał wpływ na lud pozyskać, a ktemu najłacniej rabbię. Joszuę przekupić — lecz ten nie odrzekł nic — jestto więc człek małego serca i małej potęgi. Oddaliliście się od zwykłych krynic waszego natchnienia, od dnia dzisiejszego, od życia i walki. Widziałem was zawsze tak przykutym do czynu, do taczki społecznej, że — przyznam się ze skruchą — nie przypuszczałem, abyście kiedykolwiek od niej oderwać się zapragnęli i uciekli nam w zaświaty. Stajecie się modernistą — czymżeż bowiem jest modernizm w tysiącach swych nieuchwytnych kształtów, jeśli nie ucieczką przed samym sobą?...

Ależ nie.... mylę się stanowczo. Nie uciekacie przed sobą, ale raczej jak owe tłumy ludu naszego, które nowych siedzib dla siebie po krajach zamorskich szukają, opuszczacie dotychczasowe swe dziedziny, lecz gdziebądź obierzecie nowe, jakim byliście, pozostać chcecie. I kto wie, czy zaranie chrześcijaństwa nie dlatego wyobraźnię waszą pociągnęło, że po za chłodem świątyń dzisiej-

szych, po za bóstwem średniowiecznym, po za urokiem nawet wzgórz galilejskich, dostrzeżliście owe wielkie bezimienne tłumy, równie jak dziś spragnione, głodne i nieszczęśliwe, choć inaczej odziane i inną mową mówiące. I uczuliście ten dreszcz, który przed wiekami przebiegł miliony i otrząsnął z nich dawne bogi i niewolę, uczuliście go, gdyż dotąd nowym dreszczom, ledwie się budzącym, myśl swą poświęcaliście. I dla tego „Legendy“ wasze są tak bardzo realne, tak głęboko ludzkie, a więc tak piękne. Gdyż wszelkie piękno pochodzi od człowieka i bóstwo jest tylko słabem odbiciem tego, co w piersi naszej się mieści.

Nie wiem, czy pamiętacie, coście kiedyś w liście pisali do mnie: „Artyści zaczynają od tego, że gardzą podłym tłumem — a wiecie co? Ja ten podły tłum, ten ciemny, mizerny i nad wyraz nieszczęśliwy istotnie kocham, a co więcej: szanuję. Wszyscy go kopią, plwają nań, wypierają się go, łupią ze skóry, ogłupiają — a powiedzmy szczerze: czy oni są bodaj odeń mądrzejsi. Chciałbym mieć rękę długą, jak stulecie, chwycić bat długi, jak niedola i po plecach naszych estetów przejechać raz i drugi“. Przypominam to zdanie po to, aby służyło mi za tarczę przeciw oburzeniu waszemu; lękam się bowiem bardzo, azali nie uraziłem was, odmawiając wam tytułu modernisty. Tytuł to piękny, a tak pożądanym, że niema luzaka, któryby się tym klejnotem — słusznie czy samowzwańczo — pieczętował nie pragnął. Więc choć ufam waszemu rozsądkowi, od tylu lat w najtrzeźwiejszych, bo handlowych sprawach ćwiczonemu, nie wiem, czy słów moich za ujme dla siebie nie macie. Ale *amicus Andreas, magis amica veritas*. Będę się bronił zatem.

Dwa umysły, o ile mnie się zdaje, wycisnęły najsilniej swe piętno na sercach współczesnego pokolenia: Tolstoj i Nietzsche — na was zaś nie odbiły się ani trochę. Widzę już, jak wznosicie w dłoni portret Marksa, lecz poczekajcie chwilę, zanim postacią tą mię ugodzicie. Bo prawda, że wielu z nas i w Polsce i za granicą przechodziło gorączkę socjalistyczną, a ideał równości społecznej przewijał się przed naszymi oczami i błogosławioną przyszłą krainę przed nami roztaczał, lecz prawdą jest też, że ktokolwiek tylko sercem ją ogarniał, dziś, gdy dojrzał i zestarzał się, odstrychnął się od niej i „palcem wyższości zatykając uszy“ do dawnego żłobka wrócił. Nie tu miejsce zastanawiać się, dlaczego socjalizm nieprzeparty dla umysłu, tak twardy, oporny i trudno strawny jest dla serc naszych — może dlatego, że staje się fałszem, skoro nie

przeradza się w czyn — dość, że nie on nadał piętno myślom pokolenia. Uczynili to Tolstoj i Nietzsche. Jeden i drugi głosili religię pogardy, bo litość jest także pogardą serc miękkich i tkliwych; jeden i drugi otwierali szeroko wrota nieodpowiedzialności moralnej za czyny, jeden i drugi obalali szacunek, jako podstawę stosunków ludzkich, po to, żeby się zasklepić w wyniosłej wzgardzie tłumu, lub roztopić w niem, jak w nieuniknionym i wszechpotężnym żywiole. Może zgodzicie się ze mną, że nawet we wszystkich dzisiejszych dążeniach wolnościowych widać ogromne obniżenie godności ludzkiej, że typem swoim, nastrojem, dzisiejsze programy i postulaty odbiegają daleko od „Praw człowieka“ lub pierwszej lepszej odezwy 48 roku. Jeśli zechcecie pozostać w sferze literackiej, to niejeden objaw będziemy mogli rozpatrywać, jako symptom tego upadku godności własnej. Macie hasło: „sztuka dla sztuki“. Pozostawmy na stronie, o ile ono dla sztuki właśnie korzystnym jest, lub nie jest. Patrzmy tylko na artystę: w tem hasle streszcza on dla siebie postulat nieodpowiedzialności za swą pracę. Niema odwagi wziąć na barki własne swe czyny, niema odwagi spojrzeć chłodnym okiem na to, co zrobił — więc zamyka powieki i wsadziwszy głowę w piasek czeka, zali hasło, jak magiczne słowo od życia go nie obroni i zagłuszy „symplistów urągawiska“.

Ale mniejsza o hasło... nawet rzetelne zdobycze piękna są dziś aż nazbyt często okupione obniżeniem własnej godności ludzkiej. Rozwój analizy psychologicznej, literatura egotyczna, rozpanoszona liryka płciowa, znaczą tylko etapy zanikania wstydu i godności. Konający rzymianin zakrywał twarz togą, aby przed obecnymi ukryć widok łamiących go męczarni; dziś wszelkie konanie duszy własnej i ciała wynosi się czemprowadziej na rynek... literatura nasza musi być szczerą i głęboką. Wierzajcie mi — piszę to, bom smutny i sam pełen winy. Artysta pogardza tłumem, nienawidzi niby filistra — ale niema przed nim tajemnic. Wy nie postępowaliście tak nigdy; ku tej szarej masie szliście z miłością i szacunkiem, nie zmienialiście i nie tailiście przed nią przekonań waszych i nie lękaliście się życia, lecz jako jeden z bojowników jego słowem swoim działać chcieliście. Słowa wasze więcej miały kształt oręża, niż postać klejnotu. Mówiliście o wszystkim, co tłum ten boli, o utraconej jego ojczyźnie, o poniżeniu i nędzy, o promiennych krajach, do których rwać się winien... nie mówiliście mu tylko o sobie, o waszym bólu. Czy jesteście tylko dumni, czy może jesteście szczęśliwi?... Nie wiem, ale zdaje mi się, że dotąd nie

otworzyliście jeszcze całej waszej duszy, że jakiś wstyd zabronił wam przejść ze światłem raz jeszcze te ścieżki, zkad, — że powtórzę wasze słowa — „powraca sława, blada i drżąca z drogi przebytej“.

A może nie jesteście ani dumni, ani szczęśliwi, lecz tylko silni i zdrowi, jak nikt z nas. Nie mogę zapomnieć, że pierwszą sławą waszą, o której słyszałem dawno już temu w dalekim, cichym Dorpacie, była sława łyżwiarska — i nieraz na lodzie Embachu wspomniano was, jako mistrza nad mistrze. Zdrowie wasze oparło się wszystkim przeciwnościom losu, nie ugięły was katastrofy rodzinne i pozostaliście tak, jak w najpierwszej młodości, pełni zapału i optymizmu. I jakże chcecie, aby dziś, gdy wszystko naokół jest i staje się ponure — mieć was modernistę? Wasz optymizm jest nieprzezwyjężony, bo w samej krwi i żyłach waszych leży. Odwiedzacie np. dawne swe gniazdo rodzinne, gdzie wszystko tchnie słodyczą i spokojem, gdzie „cicho lipy nad stawem szumią“, a gdzie wkrótce wichry rozmiotą to, co było wam drogie; a jednak wyrrywacie się z tamtąd ze łzą w oku, lecz bez rozpaczy i smutku, raczej ze śmiałym pożądanym walki i nowych zapasów. Jesteście może jedynym artystą, który dla życia ma tak dumną twarz i tak pogodną. Butna, dawna rasa aż kipi w was; obce wpływy, tak samo jak niedola, powierzchownie tylko przesunęły się po was i samego tła waszej duszy nie zmaciły. Mniej, niż ktokolwiek, wesaliście w siebie pierwiastków kosmopolitycznych: i błędy i zalety wasze są wasze własne.

Chciałem się rozpisać o błędach waszych — jest-że co słodsze, jak przyjacielowi przyganiać — lecz przypomniałem, że artykuł p. Posner-Garfeinowej daje mi jeszcze jeden argument, aby wam dowieść, iż nie jesteście modernistą. Do tego punktu bowiem zawczasu pragnę was przygwoździć. Twierdzi p. G., że dla modernistów najważniejszym jest schwytnie wrażenia, że uganiają się oni za odcieniami, za utrwaleniem takich drzeń, które dotąd przeszły niepochwytne. Wielkie namiętności są za ciężkie na dzisiejszą twórczość, lub, jeśli kto woli, za proste. Przyznacie chyba, że człowiek, który napisał *Familię* dramat osnuty na jednej namiętności, wybuchającej tak gwałtownie, iż nie wszyscy mieli siłę patrzeć na jej przejawy — że człowiek taki bezczelnym być chyba musi, aby do wszystkich tytułów swego szlachectwa jeszcze o tytuł modernisty się dopominać.

Ale dość już chyba traktatu estetycznego, bo i tak to dowodzenie cały list prawie wypełniło. Wiem dobrze, że jest ono może bardzo dowolne, gdyż o wiele lepiej znam waszą duszę czującą,

niż tę piszącą. Są one wprawdzie ze sobą w styczności, ale bynajmniej nie są jeszcze koniecznie jednakowe. A o ile jako człowiek jesteście otwartym i szczerym, o tyle, jako artysta nie pozbyłście się jeszcze skrytości. Przyznałem się ze skruchą, jaką niespodziankę sprawiliście mi „Legendami“. Kto wie, czy tak łatwo wyrwiecie się z krain czystej fantazyi: przypominam sobie, że widział u was bardzo podejrzone fragmenty, które aż ociekały od ludowych djabłów, czarownic i guseł.

Pytacie o „sławny“ teatr krakowski... Stoi: w środku pokazują Zazę. O „Życiu“ nic nie wiem; może przedzierzgnęło się w „Chimerę“, którą podobno mają wydawać w Warszawie.

Tymczasem żegnajcie. Muzie i amorkom oddajcie moje ukłony.

Wasz

*Jan Sten.*





## LUŻNE KARTKI.

### Za kulisami politycznymi.

(Ż.) Lubię patrzeć na czerwoną twarz polskiego „regimentarza“ w Wiedniu, p. Apolinarego Jaworskiego. Staruszek, siwizną okryty, z ogromną brodawką na jednym policzku, ma taki dziwny wzrok i tak dziwnie skurczone mięśnie twarzy, że można z równą pewnością trzymać zakład o to, czy on płacze, czy też się uśmiecha. Najczęściej wydaje się niedoświadczonemu widzowi, że staruszek drzemie, a on tymczasem układa plany, jakby wygodzić rządowi urzędniczemu i Młodoczechom, jakby pogodzić antysemitów z Bykiem i Rapaportem, albo kto go wie, może myśli o takiej zmianie statutu Koła, żeby Stojałowski, Danielak, Dzeduszycki, Stapiński i Sokołowski, padli sobie w objęcia. Gdyby kto go tak nagle zagadnął, byłby dzisiaj w kłopotcie, co też ma odpowiedzieć.... Ale nie tylko on; wraz z nim wszyscy członkowie Koła w tem samym znajdują się położeniu. Tacy mądrzy i przebiegli politycy oni wszyscy, a żaden z nich nie wie, czego się trzymać. Bo proszę sobie przedstawić następujące kombinacje: Numer pierwszy: Alians z liberałami i klerykałami z wyrzuceniem Czechów, albo z wyrzuceniem zbyt — jak Rusin mówi — łapczywych Słoweńców. Numer drugi: Wciągnięcie wszystkiego, co tylko jest klerykalnem w parlamencie (a tego jest ogromnie dużo) do sojuszu z Kołem polskim, albo pod klerykalizm podłożyć panslawizm. Zdradzić *pur et simple* Młodoczechów, albo obalić rząd, czy też doprowadzić go do rozwiązania parlamentu i do wyborów, a wszystkie dziury polityki Koła zatkać „zjednoczonymi“ chłopami i opozycjonistami, z których każdy jest „zarówno dobrym Polakiem, jak i rzymskim katolikiem“.... A tutaj w drogę włązi rytualny mord w Polnej, awantury raz czeskie, drugi raz niemieckie, skandale w świecie „najlepszych“ w Galicyi, i ogólna nędza i niezadowolnienie. Polityka Koła stała się ciężkim rzemiosłem; kiedyś taka wygodna, prosta i jasna, dzisiaj zatłumiona w czterech ścianach Koła, stała się intrygą, pozbawioną wszelkiej szczerości i siły. Ilu tam ludzi marnuje swoich parę groszy talentu, ilu straciło uczciwość i charakter na tych galerach politycznych! Jedno już dzisiaj tylko trzyma razem Milewskich i Byków, Koliszerów i Pastorów, Rutowskich i Bilińskich: wspólna obawa

o przyszłość. wspólna nienawiść do tej opozycji, co gotowa przy nadchodzących wyborach pozbawić ich tego nimbu, jakim dotychczas się otaczali. Nawet „idea narodowa“, o której tyle pisze ta przez Boga opuszczona prasa oficjalna w Galicyi, stała się intrygą zakulisową. Koło milczy o Ślązku, a dla gimnazjum w Cieszynie zdołało za kulisami wytargować zamiast 6 tysięcy złr. aż całe 8! Albo ten sławny projekt językowy p. Bilińskiego. Inna partya, gdyby miała projekt dotyczący najważniejszych praw narodowych, wszczęłaby ogromną dyskusję w kraju i państwie, poddałaby swoje poglądy wszechstronnemu rozbirowi, kierowałaby na swoją korzyść opinią kraju i tworzyła moralną potęgę potrzebną dla osiągnięcia celów prawdziwie wielkich, a tak trudnych do osiągnięcia. A u nas? Dam spokojnie 100 złr. przeciwko jednemu, że przeciętny obywatel Galicyi zna dokładniej losy walki Anglików z Boerami, niż to, co też myśli Koło o sprawie językowej w Austrii. Naturalnie, że ta tajemniczość ma swoje bardzo realne powody. Chodzi o zbadanie, jak silnymi są np. Rusini: jeżeli zaczną bardzo krzyczeć, da się im więcej, jeżeli dadzą się uspić drobnostką, schowa się resztę na potem.... To jest ogromnie mądra polityka — utrzymywania wszystkich gorączek, wstrząsających narodami jak piekielna febra.

Pięć posiedzeń Koła upłynęło na dyskusjach namiętnych, na które czekały wszystkie „kołowate“ kierunki, żrące się ze sobą w kraju; pięć posiedzeń i ani jednego wiersza dla głodnego wieści „narodu“, co też to Koło właściwie myśli i zamierza?

I to ma być „polska delegacja“, mająca wyłączny przywilej na rządy siedmioma z górą milionami ludzi! Przy końcu XIX wieku traktuje się tutaj politykę narodu, tj. wyraz najważniejszych jego interesów politycznych i ekonomicznych, jako gabinetową tajemnicę, której losy mogłyby zależeć od tego, czy p. Apolinary znuży się wreszcie trudnościami, czy nie. Co tam za projekty się wylęgały, tego nikt nie wie, ale zabawnie jest patrzeć na pewne zjawiska zewnętrzne. Np. Koło wnosi interpelację o mord polskich robotników w Hasleton z r. 1897. Cztery sesye parlamentarne upłynęły od tego czasu, a oprócz socjalistów i opozycyjnej prasy, nikt się o pomordowanych nie troskał. Tymczasem hr. Gołuchowski pomógł do obalenia hr. Thuna, „męża prawicy“, i w tej chwili wstają z grobu pomordowani proletaryusze, aby hr. Gołuchowskiemu „podstawić nogę“.... Wylazło z za kulis sztydło.

Żrą się za kulisami żydzi z klerykałami i oto powstają dwie interpelacje: jedna o mord w Polnej, druga znów dla równowagi o postrzelanych we Frysztaku chłopów. Dobry jest jeden wabik na żydów, dobry drugi na antysemitów; przy wyborach przydadzą się głosy z obu stron....

Fatalną dla takiej polityki jest jawność. Ona psuje całą „robotę“ choćby najmisterniej tkaną. Pokazało się to w ostatnim tygodniu. Pracowano najpierw nad oswojeniem Danielaka i Szpondra i doprowadzono szczęśliwie do tego, że dali sobie na próbę włożyć obrozę. Zapomocą tych chowanych wilczków rozpoczęto wabić innych jeszcze „dzikich“ z lewicy opozycyjnej. Sokołowski i Biliński obiecywali „wszystko“ ludowcom i stojałowczykom. I mandatów parę i usunięcie prześladowań (z awansowaniem oczywiście starostów) i honory i inne rzeczy. Cóż

kiedy „Gazeta Narodowa“ pospieszyła się z radośną nowiną o parę dni zawcześniej i popsuła wszystko odrazu, bo jawność zabija intrygę, jak światło słońca mikroby. Teraz ani za parę lat nie złapią opozycjonistów i nawet Danielaka i Szpondra nie dostaną, bo ci się boją strasznie przyszłych wyborów pod sztandarem Koła, poza któremby pozostała reszta opozycji.

Intryganci zakulisowi już innej nie umieją prowadzić polityki, jak tylko tajną i nieszczerą. Podkopali wzajemnie grunt pod sobą tak doszczętnie, że śmiało po nim chodzić dziś nie mogą. O interesach „państwowych“ mówią jeszcze z wielkiem namaszczeniem, o interesach polskich nie śmiają się odezwać, albo odzywają się banalnym frazesem. W cieniu intrygi wyrosli, nie rozświetlą nocy, co pokrywa jeszcze horyzont polityczny ludu; światło dla tego ludu idzie zkądiną, w każdym razie nie z tej grupy mandatowiczów, która zbierała się w tajnych posiedzeniach Koła polskiego.

### Antagonizmy.

(*mz.*) Polityka obchodów narodowych, która do niedawna jeszcze była w Galicyi, specjalnie zaś w Krakowie, plastrem na wszystkie rany społeczne, listkiem figowym na wszelką niecnotę nieobywatelskiego życia i jedynym prawie widomym znakiem polskości pewnych „prawdziwie patryotycznych“ warstw, — polityka ta mścić się zaczyna na swoich wyznawcach. Zdawałoby się pozornie, że jest to polityka zupełnie niewinna — nieszkodliwy narkotyk, którym od czasu do czasu trzeba uspić niepokój i coraz większą czujność niewiadomo poco rozbudzonych nizin. Pamięcią o umarłych usprawiedliwiano niepamięć o żywych, i żywi nie mieli prawa się żalić. Czasu dla nich poprostu nie stało. Prawdziwi patryoci spełniali obowiązek, czcząc w imieniu narodu wielkich i świętych nieboszczyków. Że zaś tych było tak wielu — kogo winić można.

A że zgodność — na mniej dobrym i lepszym papierze — jest tradycyjną cnotą polską, więc też najlepsi patryoci z „Czasu“ łączyli się ze złymi patryotami z „Reformy“, by zgodnym chórem oddać hołd przeciągającym przez Kraków cieniom. Wobec majestatu śmierci, nad świeżą mogiłą, nad szczątkami zamkniętymi w przywiezionej zdaleka trumnie delikatne i długie palce arystokratów łączyły się z niezgrabnymi rękami przedstawicieli mieszczaństwa i choć podczas takiej uroczystości serc, potomek jakiegoś magnackiego rodu pomyślał sobie może: horror! — co, na pospolity język polski przetłomaczone, znaczy „ładnie wyglądamy!“ — skandalu na zewnątrz nie było. Skandal zrobili oczywiście dopiero nienawistni przewrotowcy, którzy wpadli na szalony pomysł uczczenia wraz z innymi pamięci największego polskiego wieszca. Dano im, rzecz jasna, do zrozumienia, że naród to nie ulica i — lud od obchodu Mickiewiczowskiego usunięto. Pod pomnikiem Mickiewicza poraz pierwszy stańczycy krakowscy odczuli może niebezpieczeństwo „obchodów narodowych“, lud zaś polski, nie pierwszą z tych wytwornych i delikatnych rąk otrzymując obelgę, postawić sobie musiał pytanie: Dla kogo są poeci? Czyją oni są własnością? Kto powołany jest, by objął



przekazaną po nich spuściznę? Komu bliżsi są, gdy żyją? Gdzie, żyjąc, znajdują sprzymierzeńców, słowa zachęty, wdzięczność, uwielbienie, — kto zaś zaprawia ich trudny, ciężki byt piołunem drwin, wyszydzań i oszczerstw? Kto podcina im skrzydła, kto sprawia, że uciekając od tej czarnej, podziemnej roboty, która nie ustaje nigdy, a skierowana jest przeciwko najsilniejszym ich wierzeniom, są poeci jako te ptaki bezdomne, jako królowie bez ziemi, jako najędzniejsi z nędzarzy — bez chleba, bez praw i bez strzechy.

Pod pomnikiem Mickiewicza rozpoczęła się dziwna i możliwa chyba tylko w nieszczęśliwym Krakowie walka o prawo własności w stosunku do Mickiewicza. Wielkość Mickiewicza ustaliła się sama wbrew chęci i woli tych, co lubią zabawiać się w protektorów i klasyfikatorów geniuszów. Jest tam w Mickiewiczu trochę, nawet może za wiele, niekoniecznie przyjemnych uwag, rozmyślań i sentencji, jest trochę owych „żatkich słów“, których Obłomowy wszystkich narodów bardzo nie lubią, no, ale trudno.... Nie mówiło się o tem, starano się o tem zapomnieć — a może — „przebaczyć“, jako że geniuszom dużo wybaczyć należy. Żaden magnat polski nie pozwoliłby, aby mu odebrano „jego“ Mickiewicza. Zżyto się zanadto z myślą o „wielkości Adama“ — aby się myśli tej nagle, z jakichkolwiek powodów wyrzekać. Przechodzi z pokolenia na pokolenie, jako rzecz pewna, niewzruszona, jako konieczny dogmat, któremu się nie przeczy — chociażby z przyzwyczajenia.

Gdy jednak poczęły się odzywać głosy, przypominające, że należałoby pomyśleć o tym drugim wielkim wygnańcu, który od 50-ciu lat czeka na kawałek ojczystej ziemi, gdy odezwały się głosy za sprowadzeniem zwłok Słowackiego do kraju, „prawdziwi patryoci“ znaleźli się w przykrem i niewygodnem położeniu. Tradycja zgodnych obchodów narodowych ucierpiała bardzo w czasie obchodu Mickiewiczowskiego, w biegu lat uwidocznilo się zbyt wyraźnie, że taktyka wspaniałych pogrzebów, mów i styp nie dopisuje, nie działa. Dla Mickiewicza warto było jeszcze coś niecoś zaryzykować i okazało się, że zaryzykowano za dużo. Ale dlaczego trudzić się i fatygować dla Słowackiego?

Sława jego jest młoda i chociaż dwa te nazwiska wymienia się zawsze po sobie — nie jest ona bynajmniej takim dogmatem, jak wielkość Mickiewicza. Słów, które rzucił w odpowiedzi „Autorowi trzech psalmów“, społeczeństwo szlacheckie nie zapomniało — i szkalując, spottwarzając go za życia, nie ma siły pogodzić się z nim po śmierci. Nie wypowie tego otwarcie. Jest na to zbyt tchórzliwe. Obrąło sobie bezpieczniejszą drogę obłudy — i oto „Czas“ krakowski kryjąc się za plecami „Dziennika kujawskiego“, odezwę, przypominającą zaniedbany wobec poety obowiązek, zbywa kilku pogardliwemi i cynicznemi słowami. Tenże sam „Czas“ nie znajdzie wszakże słowa pogardy dla usłużnego swego kolegi, gdy ten z niezrównanym bezwstydem zachęca do zbierania składek na pomnik Wilhelma I, i listę składek tych w szpaltach swoich otwiera....

....Niech się polaki modlą, czczą  
cara i wierzą....

Rzecz naturalna. Od czasów, kiedy Słowacki w tych kilku sło-

wach ujął psychologję „prawdziwych patryotów“, nic się nie zmieniło. Hańba akcji ugodowej, składki na pomnik Wilhelma, i ta źle tajona niechęć do poety, który przed 50-ciu laty przejrzał istotę patryotycznych i demagogicznych uczuć szlachty polskiej, który powiedział, że jej serce chore a rdzeń próchnem —: to tylko warjanty motywu, na którym klika szlachecka oparła symfonię swojej wielkiej „narodowej missyi“.

Gdy tedy Mickiewicza szlachta zagarniała jeszcze dla siebie, Słowackiego bez wahania odstąpi „ulicy“, której jednakże ze wszystkich sił przeszkadzać będzie, gdy ta uczucia swoje ująć zechce w akt głośnego hołdu. W stosunku kliki stańczykowskiej do Juljusza Słowackiego streszcza się stosunek tej kliki do poetów, literatów i artystów w ogóle. Występuje tu odwieczny konflikt ducha „wiecznego rewolucjonisty“ z duchem konserwatywnym, hierarchicznym, kastowym. Rolę znienawidzonego przez artystów wszystkich krajów „burżuazyjnego“ filistra, wzięła na siebie u nas stańczykierya, za którą ciężkim krokiem po wydeptanej drodze wlecze się biurokracya i sklerykalizowane drobno-mieszczanstwo. Między poetą, o którym Shelley już powiedział, że jest „nieuznanym prawodawcą świata, zwierciadłem odbijającym olbrzymie cienie, jakie przyszłość rzuca na chwilę bieżącą“ — między poetą a warstwą, której jedyną treścią i celem jest zachowywanie wszystkich śladów chwili minionej, musi istnieć zasadniczy i głęboki antagonizm.

Antagonizm ten przejawia się bądź przy poszczególnych wstrząśnieniach, bądź też w zwykłym biegu życia. Jest to odwieczna walka ruchu z zastygłą bezwładzą, postępu — z marą zacofania. Poeta, powieściopisarz, artysta, nie może pójść razem z tymi, którzy za wszelką cenę zachować chcą to, co jest, i o ile ma w sercu prometeuszową iskrę rychło stanie do otwartej z szeregiem tymi walki. Musi być opozycjonistą, gdyż jest to warunek jego bytu i zadatek jego przyszłości. O ile zaś nim jest, niech nie spodziewa się ciepłego miejsca w salonach i buduarach koniecznych swoich wrogów. Jeśli je przestąpi, rychło znajdzie się po za ich progiem i zrozumie, że miejsce jego tam jest — gdzie jest miejsce krzywdy, pragnień, jutra czekających i protestu, który przyszłość osądzi.

Za życia jeszcze ze złoconych salonów posypią się nań anatemy, po śmierci podpory ojczyzny odmówią mu grobu. Lecz grób ten wywalczy znowu *duch — wieczny rewolucjonista!*

*Lwów, w październiku.*

(x) Będziemy zatem mieli dwa popularne ogniska oświaty wyższej, dwa uniwersytety ludowe: pierwszy działający od roku — im. Adama Mickiewicza; i drugi oficjalny — imienia cesarza Franciszka I. (Wszak taką jest urzędowa nazwa tutejszej wszechnicy?).

Czy dwa takie zakłady obok siebie są potrzebne — są możliwe?

Nie! odpowiada wielu, i chyli pokornie czoło przed oficjalnymi profesorami i oficjalną wiedzą. W najlepszej zresztą wierze: z szacunkiem przed nauką.

W tem właśnie błąd logiczny, historyczny, rzeczowy.

Weźmy przedmiot najważniejszy, stanowiący podstawę i koronę wszech umiejętności, filozofię. Odnowiciele i świecznicy nowoczesnej myśli filozoficznej, ci, na których, jako na fundamentach, ludzkość dotąd jeszcze buduje gmachy swych wierzeń i nadziei, wcale do klasy profesorów nie należeli. Profesorem filozofii nie był Bacon, Descartes, Spinosza, Hume, Locke, Leibnitz — nie był w nowszych czasach Comte, Mill, Darwin, Spencer, Schopenhauer, Nietzsche (ostatni wykładał filologię, nie filozofię). Z pośród wielkich myślicieli filozoficznych właściwie jeden tylko należał tylko do tej klasy: Immanuel Kant. Uniwersytety nigdy może tak nie kwitły, jak za wieków średnich; uniwersytet w Paryżu, uniwersytety włoskie, krakowski, miały wtenczas liczbę słuchaczy, potęgę, znaczenie, z jakim się dzisiaj żaden nie może mierzyć. A przeżuwano tam przez całe wieki scholastykę. Niema żadnego głupstwa, któregoby te uniwersytety nie poparły były swoją powagą, a jest dużo smutnych głupstw, na których poparcie wysyłały książki najszlachetniejsze i ludzi najlepszych — na autodafé. Nie z katedry uniwersyteckiej padły pierwsze głosy, głoszące światło, wolność ducha, postęp ludzkości: z odludzia, w którym się zamknął Kartezjusz, z izdebki, w której biedny żydowin szlifował swoje kamienie i — ducha świata, z stosu, na którym spłonął Giordano Bruno, z tajemniczej pracowni pełnej trwogi o życie własne, w której rozmyślał Kopernik — z tych ognisk, nie z katedr, padły iskry rozświetlające życie, rozświetlające duszę biedną, cierpiącą wśród mroków i niepewności. Tylko nie z a l e ż n a myśl dała nam to trochę poznania, które mamy, myśl heretyka, nieoficyalna, myśl dojrzewająca zawsze tylko na fermentach dyskusji walnej, opinii powszechnej, krytyki publicznej.

Niemcy współczesne mają kilkuset profesorów filozofii, filozofów kilku tylko. Z niewielkimi zastrzeżeniami da się to powiedzieć o wszystkich umiejętnościach, rozwijających ducha ludzkiego. Co innego nauki stosowane. I te cierpią niejednokrotnie silnie pod naciskiem zorganizowanego konserwatyzmu, którym jest uniwersytet, i te mają najważniejsze swoje zdobycze do zawdzięczenia ludziom, stojącym poza uniwersytetami począwszy od Galileusza a kończąc na Edisonie lub Darwinie. Wiadomo na jakie walki ze strony uniwersytetów były narażone postępy nowoczesnej medycyny. Ale ponieważ po największej części nauki te są uprawiane, jako wiedza t e c h n i c z n a, mało uwzględniając stronę filozoficzną: pogląd na świat przyrodniczy i ewolucyjny charakter społeczeństwa — dlatego zostawia się je we względnym spokoju.

Profesorzy są administratorami wiedzy, a najczęściej — jej biurokratami; wśród miliona urzędników zdarzy się jakiś genialny umysł, który — o ile mu jego atmosfera nie przeszkodzi — zreformuje stan swój dla dobra rządzonych i spraw kancelaryi — ale najczęściej bodziec do tego wychodzi z zewnątrz. W tem dobroczynna rola nowoczesnych parlamentów z ich możliwością kontrolowania organów administracji oraz stawiania wniosków reformatorskich. Wolna nauka odgrywa rolę takiego parlamentu! Tu się kontroluje biurokratów wiedzy, stąd wychodzą śmiałe hipotezy, idee, prace umiejętnością naprzód. A mają ścisły związek z wszystkimi niwami swego społeczeństwa. O oficjalnej zaś nauce trzeba powiedzieć to, co Dubois-Reymond powiada o ofi-

cyalnej filozofii, że „nabiera już takiego charakteru ezoterycznego, do tego stopnia zapomniała języka powszechnego rozsądku ludzkiego i prostego zastanowienia, tak się oddaliła od pytań, najgłębiej poruszających niepochołniętego jeszcze przez żadne stronnictwo ucznia lub też traktowała je z tak bardzo wysokiego stanowiska, przez długi czas przeciwstawiając się tak wrogo wyrastającej obok niej w postaci nauk przyrodniczych nowej potędze wszechświatowej\*), że...“ — że żaden myślący człowiek nie wątpi o konieczności nauki wolnej, nauczania wolnego, poza wszechnicami oficjalnymi.

Tyle w odpowiedzi tym którzy chcą ognisko wolnej wiedzy, Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza, przygnać wielkością Uniwersytetu oficjalnego.

### Przegląd teatralny.

(g.) *Družba*, „komedia“ Michała Bałuckiego. Nawet farsą trudno nazwać ten zaiste niebywały przejaw twórczości scenicznej. Jednemu z nieszczęśliwych widzów sztuka ta przypominała znaną anegdotkę o tem, jak się to robi armaty — : „Bierze się dziurę i oblepia się ją żelazem itd.“ Należy podziwiać cierpliwość... papieru, który przetrzymał, że p. Bałucki z zupełnego braku pomysłu i myśli skleił na nim trzy akty. Te bowiem sztucznie oddzielone od siebie każdorazowem spadaniem zasłony nazywają się i w tem sztucznydłe aktami.

Podziwiać też należy dyrekcję, która zdecydowała się wystawić „Družbę“ i znakomitych aktorów, którzy, łożąc na tę obrażającą intelekt szopkę, talent i pracę, dali dowód bezprzykładnego poświęcenia. Występuje tam w 3-cim akcie młody małżonek, który na swojej uczcie weselnej odczuwa niepohamowaną chęć wygłoszenia toastu. Wymowa nie dopisuje — : po kilkakrotnych bezowocnych próbach — pan młody podchwytuje rzucone mu przez usługowe usta słowa i bardzo zadowolony z siebie ogłasza: „No — widzicie — powiedziałem — musiałem — bo bo gdybym nie... tego, tobym się roz... tego. Jest to może zarazem usprawiedliwienie się p. Bałuckiego wobec publiczności...“

Znakomicie grali p. Siemaszko i p. Wojnowska. O jednym wszakże tylko p. Siemaszce powiedzieć można, że grą swoją starał się podnieść poziom sztuki do wysokości komedii.

(St). *Jan Kochanowski*. Sztuka w 5 aktach przez Gabryelę Zapolską.

Wszystkie odcienie krakowskich estetów potępiły w czambuł sztukę p. Zapolskiej. Zdumiewajacem atoli jest, dlaczego publiczność po części przychyliła się do tego wyroku: wszystkie zalety bowiem i wady tej sztuki powinny były pozyskać powodzenie. Bo np. cóż to publiczność obchodzi, że dramat zaczerpnięty jest z powieści Hofmanowej, że węzeł dramatyczny znajduje się całkowicie poza sferą uczuć osób działających, że właściwie sztuka ta jest tylko uscenizowaną powiastką, szeregiem

\*) „Granice poznania natury“, przekład Massoniusa str. 28.

epizodów luźnie powiązanych z sobą. Ale prócz usterek, które wytknąć tak łatwo, że nie warto się nad nimi rozwodzić, w sztuce p. Zapolskiej przesuwa się tak miły zakątek życia, postaci, które stały się tak drogimi sercom naszym a nie przytłaczają nas jednak ogromem zachwytu i uwielbienia, że już to samo życzliwie nas dla jej sztuki usposabia. Pani Zapolska chwyciła za rzecz nową — pracując gorączkowo, nie wyzyskała jej ani w dziesiątej części — ale pokazała tylko, ile piękna możnaby wycisnąć z owej promiennej epoki polskiego odrodzenia.

(St) *Sonata, kompozycja dramatyczna w pięciu aktach przez J. A. Kisielewskiego.* Jeśli dobrze rozumiem Kisielewskiego, to „Sonata” miała być tragedją grecką na tle współczesnem, działającą w niej bowiem te same zasadnicze motywy i pomysły, na których opiera się tragedia starożytna. I tu i tam mamy w zawiązku rzeczy pierwotną podstawową zbrodnię, która jako logiczną konsekwencyę wysnuwa ze siebie swe prawo; z pod prawa tego wyłamuje się jednostka, samemu sprawcy zbrodni najdroższa, i skoro ginie, staje się jednocześnie karą dla tych, którzy prawo nad nią zawiesili. Pani Tańska powodowana namiętną miłością do męża, który zdradzał ją z jej siostrą i pod jej wpływem właśnie komponował arcydzieła, wypędza siostrę i niszczy sonatę, stworzoną przez męża. Genialny muzyk przyplaca to obłąkaniem. W domu zapanowuje zatechła grobowa atmosfera; matka wychowuje jedyną swą córkę, w której talent ojca objawił się niezwykłym głosem śpiewackim, na artystkę, kapłankę sztuki wyłącznie, i odsuwa ją od wszelkich uczuć wesela, rozkoszy i miłości, która w jej pojęciu jest siłą li tylko niszczycielską. Córka ulega jednak ponętom młodości i oddaje się jednemu z wielu, którzy o jej miłość się starają. Ukochany jej ginie jednak w pojedynku z odtrąconym rywalem, a śpiewaczka, w chwili gdy ma wystąpić jak zawsze na scenie, dręczona już przecuciami losu, zdenerwowana wiadomością o przeszłości ojca, traci głos — nb. w przepysznej scenie, gdy próbuje śpiewać w obecności obłąkanego ojca, uieruchomo w nią wpatrzonego — i wpada w obłąkanie. Czy ten prosty szkielec dramatu nie przypomina cokolwiek Antygony? — stosunkiem, nie istotą — działających uczuć? Czy ta atmosfera zbrodni, nieszczęścia nieubłaganego, koniecznego, które spaść musi i ugodzi z zewnątrz albo z wewnątrz, czy cała ta rodzina Tańskich szamocąca się w sobie, dziwna, czująca swe potępienie, nie przywodzi na pamięć prześladowanych przez Boga Atrydów?

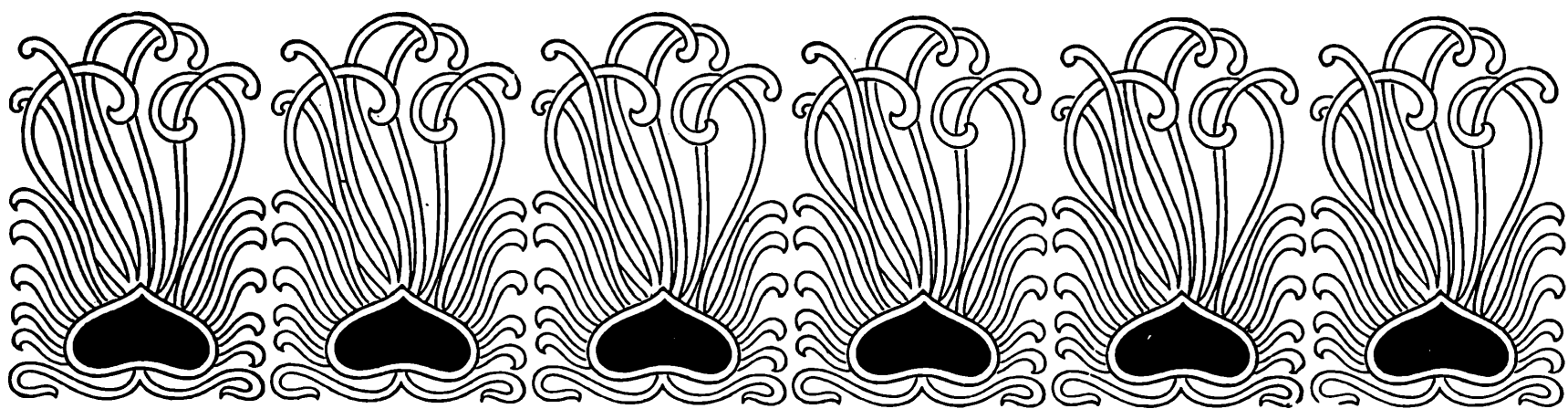
Ten pomysł jednak, silny swą prostotą, wymagał niezmiernie krótkiego, ostrego traktowania rzeczy; wymagał, aby dramat zbliżał się ku rozwiązaniu szybko i niepowstrzymanie, jak spadający z gór kamień, aby atmosfera grozy, potęgując się, uprawdopodobniła ostateczną katastrofę. Tym warunkom odpowiedział tylko akt czwarty, który sam w sobie jest przepyszna tragedją; taka scena jak rozmowa Wili Tańskiej z dr. Leliwą, który przychodzi do domu Tańskich, zabiwszy Ryszarda, kochanka Wili, aby zobaczyć swą ofiarę i pożegnać ją, nie łatwo wyjdzie z pamięci; również wspaniałym pomysłem jest, iż Wila nie dowiaduje się zupełnie o śmierci Ryszarda: autor uniknął tu zabójczej banalności

śmiałym i szczęśliwym zwrotem. Mówiłem już, jak piękną jest scena ostatnia, gdy Wila usiłuje śpiewać przy obłąkanym „mistrzu“.

Ale pozostałe akty nie złożyły się na wywołanie wrażenia, bez którego sztuka musiała wyjść niejasno. Piąty jest zupełnie niepotrzebnym balastem i doprawdy, autor tej miary, co Kisielewski, mógł nam oszczędzić wzorowania się na Maeterlincku, co zresztą się zupełnie nie udało, bo akt ten osłabia tylko i psuje wrażenie, odniesione w końcu aktu czwartego. Pierwsze trzy akty są stanowczo za rozwlekłe i z grozą rosnącą sytuacji niemile nieraz klóci się trochę karykaturalny realizm, w którym wogóle lubuje się Kisielewski. Scena pani Tańskiej z jednym z gości, który pocałował służącą (w akcie pierwszym) jest do niemożliwości śmieszna; również chwila, gdy Tańska wchodzi do pokoju, gdy Wila całuje się z Ryszardem — pani Tańska ma stanowczo wdech pocałunkowy — chwila ta sprawia wybuch rzetelnego komizmu. Te drobne usterki niezmiernie obniżają postać pani Tańskiej i wydają ją jako nieszkodliwą i śmieszna maniaczkę, gdy tymczasem powinna chyba była mieć więcej ascetycznego ognia, zapалу i przekonania. Pani Tańska nie powinna była być na scenie ani jednej chwili śmieszna, a temwięcej głupia. Niestety, są chwile gdy taką się wydaje. Postać Leliwy jest bardzo pięknie pomyślana i dla sceny w akcie czwartym warto ostatecznie słuchać przez trzy pierwsze jego niejasnej i irytującej mowy. Przez rozszerzenie tej roli, przez wykazanie pierwiastków złowieszczych, które w sobie kryje, zyskałby niezmiernie na jasności stosunek Leliwy do Wili, a postać Ryszarda, „słonecznego kochanka“ przez kontrast wydałaby się konkretniejszą, bardziej żywą, niż teraz występuje w sztuce. Tak jak jest, Ryszard jest zupełnym szablonem, który tylko wąsom p. Tarasiewicza zawdzięczać może swe powodzenie.

Wogóle w całej „Sonacie“ jest dużo takich niepewnych posunięć pióra, młodzieńczości, która staje się już dziecięcą naiwnością i niewiedzą życia — poco np. scena z obłąkanym Tańskim w akcie pierwszym odbywa się przy gościach, gdy tak łatwo jest wyprosić ich do sąsiedniego pokoju? — Sonata jest zapewne jednym z najpierwszych utworów Kisielewskiego; od tych niepewności, od błędów niedostatecznej charakterystyki otrząsnął się przecież zupełnie np. w „Sieci“.

Sonata wogóle graną była dobrze. Jak zwykle p. Siemaszkowa cudowną grą swą nad wszystkich celowała. Pani Siemaszkowa przepysznie przeszła od radosnego, miłosnego upojenia w akcie trzecim, do uczucia grozy, lęku, zdenerwowania, które z wolna opanowuje ją w czwartym. Pan Solski oddawał dobrze chwile melancholii: natomiast ataki furii np. w początku czwartego aktu wypadały nieco melodramatycznie. Pan Kamiński miał wyśmienitą charakterystycę i świetne ruchy. Dykcyja przeciągana z litewska, najniepotrzebniej w świecie przypominała chwilami rolę Kornilowa. Pani Senowska była poprawna, ale nie wzniosła się do wyżyn tragizmu, zamało miała głębokiego smutku i rozpacz. P. Węgrzyn w niewielkiej swej roli wuja był doskonały. P. Tarasiewicz — miał wąsy.



ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

## LEGENDY.

### WYSŁANIEC.

W księgach egipskich, opisujących życie Terapeutów nad jeziorem Meros, znaleziona jest spowiedź Uriela z jego wycieczki na Liban.

Młodzieniec, wysłany przez przełożonego po zioła uzdrawiające, szedł rażno, a wśród podróży wiosna rozkwitła w jego sercu. Puszczal wzrok po błękitnym stropie świata, który się najlżejszą chmurką nie przyćmiewał.

Szedł tak tygodnie całe, nie spiesząc się; a im dłużej szedł, tem większa radość wypełniała jego duszę. I zbliżył się myślą do wszelkiego kwiecia polnego, do potężnych drzew porastających góry, do ćwierkania ptactwa, do gwaru strumieni, do śpiewu wiatru.

Lata młodości spędził nad brzegiem jeziora, w posępnej celi, wychodząc z niej tylko w dzień poświęcony Panu. Oczy jego nie widziały świata przyrodzonego na jego dzikiej wolności. Surowy żywot Terapeutów, zagłębianie się w tajemnice sił magicznych, troska około zdobycia wiedzy, wyrobienia potęgi oka, potęgi czucia i potęgi dotknięcia, wszystko to nie było uciechą młodości, wesołością życia, uśmiechem szczęścia. Uśmiech, wesołość, szczęście— one na dnie duszy Uriela drzemały, jak potoki zasypane.

Przełożony, żegnając go, mówił mu o posłannictwie Terapeutów. Mówił mu o Panu pustelniczych lekarzy. Mówił mu o sile, którą On zsyła na nich; o pomocy, jaką mają nieść ludziom; o przykładzie, jaki winni dawać; o cnotach, jakie mają uprawiać, by siły owej nie utracić, ale ją w sobie rozmnożyć.

Uriel słuchał ze skupieniem, a wśród drogi długo nad tem rozmyślał.

Ale niebawem zasłuchał się w szum wiatrów, cedrów i potoków. Zapatrzył się w modre niebo i w płomienne słońce, które przed nim sunęło; zapatrzył się we wzgórza, doliny, jeziora i rzeki. Posępna cęła coraz bardziej zacierała się w jego pamięci. Czuł się jak ptak, który wyfrunął z klatki i po raz pierwszy skrzydeł żażywa, czuł się na wolności wśród przyrodzenia, wśród upajającej woni i buchającej zewsząd zieloności.

Niekiedy doznawał czarownych złudzeń. Zdawało mu się, że słyszy nad sobą w powietrzu jakieś głosy, które wiodą rozmowy. To znowu słyszał przepiękne śpiewy i trącanie strun.

Sypiał na mchach i często śniło mu się, że otwiera się błękit i że deszcz białych i różowych kwiatów opada na niego i pokrywa go. Czuł najwyraźniej woń tych kwiatów i przez sen ręce po nie wyciągał.

I we śnie przypominał sobie, że jest wysłańcem; więc zdawało mu się, że Pan odmyka niebo i wysłańcowi swemu śle kwiecie wonne, by mu radość towarzyszyła w drodze.

Potem wszedł pomiędzy siedziby ludzkie. I znowu serce jego drgnęło nieznanem uczuciem. Pragnął się zbliżyć do pasterzy, do rybaków i ogrodników; ogarnęła go jakaś tęsknota, poczucie samotności, chęć wymiany słów, uścisków, spojrzenia, łez i uśmiechów. Ale powstrzymywał go przepis przełożonego, który go surowo napominał, aby od ludzi trzymał się zdaleka, albowiem była to jego pierwsza podróż.

Nieraz widział radość i chciał ją z ludźmi dzielić. To znowu widział cierpienie i dolegliwość, a znał środki zaradzenia. I wiedział, że starsi z pomiędzy braci chadzali po kraju, gdy była potrzeba, by czynić dobrze. Kiedyś i on miał się przyłączyć i chadzać z nimi, miał zbliżać się do ludzi i ręce ku nim wyciągać.

Dawniej nie tęsknił za tem, bo mu nieznaną była słodycz takiego zbliżania się i czynienia takich uczynków. Ale teraz, gdy poznał wolność, gdy ujrzał się wśród przyrodzenia i oko jego padło na ludzi, żalność ozwała się w jego sercu, obracał oczy ku owym głosom rozmawiającym w górze i pytał: żali ta surowość przełożonego jest sprawiedliwa? Żali nie będzie przyspieszony dzień jego radości i jego czynów? Żali siła nie wezbrała w nim już na tyle, aby spełniał posłannictwo i ma tylko za ziołami się oglądać, stroniąc od pociągających duszę siedzib ludzkich?...

Razu pewnego ujrzał miasteczko na stoku wzgórza, a dalej



w dolinie wzdłuż rzeczki rozrzucone domki i jeden na uboczu samotnie stojący wśród gaju migdałów, osypanych różowym kwieciem.

Powietrze było parne. Siadł pod palmą i dumiał. Wtedy we wschodniej stronie nieba błysło i odezwał się odległy grzmot.

Uriel uniósł oczy w górę. Na widnokręgu ukazała się brunatna chmura, biegła szybko i rozpościerała się po niebie, zakrywając jasny błękit. Ale dołem nie wiał jeszcze najłżejszy powiew i drzewa pogrążone były w nieruchomości.

Uriel wstał i począł oglądać się za schronieniem.

Ruszył w kierunku owego samotnie stojącego domu. Drzwi były otwarte. Zajrzał w głąb. Dom widocznie był pusty, a mieszkańcy w polu. Nie śmiał wejść do opróżnionej siedziby ludzkiej i ruszył dalej.

Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków, kiedy po raz wtóry zajaśniało w chmurach i rozległ się grzmot, hucząc przeciągle. Zawahał się tedy, czy iść dalej, czy wracać. Stał przez chwilę i rozważał, następnie jednak zawrócił i stanął przed owym domem. Właśnie błysło na niebie po raz trzeci i grzmienie wstrząsnęło powietrzem.

I w tejże chwili ujrzał w drzwiach młodą dziewczynę, która podniosła na niego pytające i zdumione oczy, poznając w nim przybysza ze stron dalekich.

Uroda jej zmieszała go. Twarz oblała mu się żywym rumieńcem. Patrzył na nią czas jakiś, a potem zbliżył się do niej i pozdrowił ją.

Ona z zawstyżenia oddychała szybko i oblała się również rumieńcem. I tak stali naprzeciw siebie, nie wiedząc, co czynić i jakim słowem przemówić do siebie.

Na niebie zagrzmiało po raz czwarty. Wtedy Uriel postąpił o krok bliżej, oparł rękę o odrzwia i nawiązał z nią rozmowę.

Ona ośmieliła się nieco i poczęła mu odpowiadać. A potem pytała go, jakie jest jego imię, czem się trudni i jak się nazywa kraj, z którego przybywa.

Odpowiedział, iż na imię mu Uriel, przybywa z bardzo daleka i jest wysłańcem tego, który ustala wody, rozpościera błękit nad światem i każe bliźnim nieść ulgę w niedoli.

Słowa te zdziwiły ją. Popatrzyła na niego z bojaźnią, cziągą i zaciekawieniem. Wieść o posłańcach krążyła z ust do ust jako legenda.

Teraz on z kolei pytał, jak jej na imię, kto dom ten zamieszkuje i czem się trudni.

Dziewczyna odpowiedziała, że nazywa się Myrjem, a dom należy do jej rodziców, którzy są w winnicy przy zbiorze. Ona zaś pozostała, aby pilnować opustoszałego domu, gdyż rodzice powrócą dopiero późną nocą.

Na to znów on począł mówić, iż szuka schronienia przed zbliżającą się burzą; że jest to pierwsze poruszenie żywiołów w czasie jego pielgrzymki; że dotąd towarzyszył mu tylko skwar, a przed nim szła cisza; że nie zbliżał się do ludzi, gdyż było mu zakazane do czasu, a kiedy ten czas nadejdzie, Pan da znak.

I w chwili, kiedy słowa te wymawiał, zagrzmiało na niebie, a grom, rozłamawszy chmury, ukazał wielką światłość, która odbiła się sinym blaskiem na twarzach obojga.

Dziwne zmieszanie ogarnęło dziewczynę. Gdy przybysz mówił, wpatrywała się w jego piękne, a niezmiernie łagodne oblicze, owiane urokiem dumań. Wpatrywała się w jego piękne oczy, które miały barwę różowego kwiatu jabłoni. Poglądała na jego postać wiotką, jakby nieziemską, jakby powiewną i ulatującą.

I poczuła, iż bliskim jest jej sercu. Zapragnęła słyszeć, za czym był wysłany. Prosiła, aby nie odchodził, gdyż chmury dały znak światłością i grzmieniem.

Wtedy on obrócił się w ogród, kędy lilie rosły i uszczknawszy pręt, podał jej.

Ona opuściła oczy i pocałowała kwiat. Ale zaraz potem twarz jej posmutniała i łza zakręciła się w oku.

Lecz on ujął ją za dłoń i pytał, czemu milczy. Rozpoczęli znowu rozmawiać, a ona opowiadała mu o rodzicach, o biedzie, w jakiej żyją, o ubóstwie, które o jej losach stanowić będzie. Wreszcie zeznała, iż nieraz wieczorami nawiedza ich dom pewien stary cieśla, znany i ceniony dla swej dobroci i sumiennosci, równie ubogi, jak oni. Ale jest to człowiek bardzo stary. Mówiąc to, przymilkła nagle; on zaś popatrzył na nią i ścisnął jej rękę.

A właśnie zagrzmiało na niebie po raz szósty. Olśniewająca światłość rozdarła brunatną chmurę od wschodu do zachodu i zahuczał grzmot, który rozległ się echem po górach.

Uriel pochylił się nad dziewczyną, a twarz jego, rozświecona błyskiem gromu, była piękna, tajemnicza, porywająca. Serce dziewczyny drgnęło nieokreślonym bólem. Poczęła szeptać o jego niespodziewanym zjawieniu się, o tej burzy, która nad jego głową lśni błyskawicą i gra grzmieniem. A potem szeptała o tęsknocie, która zakrada się do serca i nigdy może uciszoną nie będzie.

Wtedy on objął ją i zbliżywszy więcej jeszcze twarz swoją do jej twarzy, pytał, czyby uwierzyła weń. Następnie pytał, czyby pragnęła uciszenia. I pytał, czy przez tę krótką chwilę stał się jej bliskim.

Lecz ona nie śmiała odpowiadać, jeno przysłoniła oczy rzęsami i pochyliła twarz oblaną rumieńcem. On zaś, mniemając, iż milczenie jej ma inny powód, począł jej znowu mówić o swem posłannictwie, podniósł rękę ku brunatnym chmurom, które miedzianą pomroką przyćmiły jasność dnia, szeptał jej to wszystko, co się płomieniem garnęło na jego usta i wichrem dobywało z duszy, przyłożył gorącą twarz do jej rozpalonej twarzy i otoczył silniej ramieniem jej kibić.

I właśnie zagrzmiało w chmurach po raz siódmy. Zabłysła przemijająca światłość, a po niej zapadł mrok; jeno grzmienie trwało długo i potężnie, wstrząsając miedzianem niebem i pogrążoną w cieniu ziemię.

A po tym siódmym grzmocie zerwał się wicher, rozkołysał drzewa, zaszumiał w cyprysach i palmach, a z gałęzi migdałów i granatów począł otrząsać różowe kwiecie, którego płatki, rojąc się w powietrzu, opadały na głowę Uriela i na twarz Myrjem. Dziewczyna przymknęła oczy, przyszła na nią senność... zemdląca.

W śnie zemdlenia była jednak tak piękną, że Uriel wpatrywał się w nią i nie słyszał wicherów nad głową, nie widział rozkołysania się cyprysów, ani opadającego kwiecia, ani ognia na niebie.

Pustelnik z nad brzegów jeziora Meros, mól wiedzy, zakonnik-lekarz, mag badający siłę tajemną, poczuł w sobie żywioł, który szukał bratnich żywiołów. I znalazł je w tem uroczem przyrodzeniu, w błękicie nieba, w szumie drzew, woni kwiatów i onych głosach w powietrzu. Znalazł je w onej nagłej burzy, która świat objęła, w onej światłości błyskawic i w onem grzmieniu chmur. Znalazł je w tej pięknej, uśpionej dziewczynie, przy której jeszcze leżała lilia, uszczknięta i podana jej tak niedawno.

Ale w tej chwili drgnęło w nim coś, popatrzył na opustoszały dom, którego drzwi stały otworem, przypomniał sobie słowa dziewczyny, iż rodzice jej powrócą na noc, stanął przed jego okiem obraz starego cieśli, który chciał dzielić z nimi ubóstwo swoje. I przypomniał sobie jeszcze wyrazy, które był szeptał dziewczynie, co jej mówił o swoim posłannictwie, następnie zastanawiał się nad tem, jak ona to mogła rozumieć i jak należało to rozumieć.

I padł na niego lęk. Odsunął się od śpiącej dziewczyny i zdała popatrzył na nią. Potem ujął się za czoło, opuścił głowę na piersi i dumął. Coraz gęstszy mrok zapadał w miarę wzmaganą się burzy. Uriel drżał, zbierał myśli. Zwrócił oczy na rozsypane po dolinie domki, na miasteczko przylepione do wzgórza. Dziewczyna się nie budziła. Padał na niego coraz większy lęk.

Dzień zamieniał się w noc. Wicher, niby rozhukana rzeka powietrzna, przelewał się i rwał konarami.

Uriel począł sunąć na palcach w głąb lasu cedrowego. Jeszcze obejrzał się kilka razy po za siebie. Dziewczyna wciąż spała.

Nagle wicher zmienił kierunek, przepołowił chmury na niebie i po krótkim czasie zmiotł je za widnokręgi. Ukazał się w górze czysty błękit, a w stronie zachodniej słońce, które właśnie połowę swej tarczy szkarłatnej zapadało za wzgórza. W powietrzu poczęło krążyć ptactwo z wesołym świergotaniem; ożywiła się woń lilii i kwiatu migdałowego; miłe zapachy jęły przepelniać powietrze.

Dziewczyna westchnęła, otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła ze zdumieniem. I nie mogła zrozumieć, żali sen trwa jeszcze czy też jawa nie minęła. Nie mogła powiązać myśli, obrazów, wspomnień i rzeczywistości.

Bo zdało się jej, że stała na progu domu i ujrzała przed sobą młodziana, który się nazwał wysłańcem. A zjawił się wśród błyskawic i grzmienia. Potem przemówił do niej, uszczknął pręt lilii i podał jej...

Potem szeptali ze sobą o niebie, o ziemi i o drzeniu serc. Potem ona osłabła, a na niebie rozgorzały błyskawice i zahuczały gromy. Potem przymknęła oczy...

I otwiera je teraz...

A w górze przeczysty błękit, w dali zachodzi słońce i niema nikogo koło niej...

Żali to był sen?...

Ale serce jej drży jeszcze, uderza nierówno. Czuje jeszcze na twarzy oddech tego, który się mienił wysłańcem...

Żali to była jawa?...

I siedziała tak dumając. Opuściła głowę na piersi, a z oczu poczęły łzy spływać. Toczyły się po bladych policzkach, spadały na łono, na ręce, na murawę.

Potem łzy te poczęły płynąć coraz obficie i jak czyste krople deszczu drżały na źdźbłach twarzy.

Wtem posłyszała szelest kroków i ujrzała przez łzy pochylonego cieślę, który zbliżał się wolno pod próg ich domu. Zakryła

twarz rękami, pochyliła głowę na murawę i utonęła w drzeniu, łzach i błaganiu Pana, który w górze ponad nią krył się za błękitami i losy świata w zadumie układał.

Cieśla ujrzał ją klęczącą z pochyloną twarzą ku ziemi. Zaniepokoił się, przystąpił do niej i szepnął łagodnie:

— Co tobie, Myrjem?

Ale usłyszał tylko łkanie. Więc przeląkł się bardzo, dotknął dłonią jej głowy, schylił się i szepnął łagodniej:

— Co tobie, moja droga Myrjem?...

Wtedy dziewczyna uniosła się nieco, przysłoniła twarz włosami i przyłożywszy drżące, zimne usta do jego pomarszczonej ręki, poczęła ją zalewać łzami i całować.



ANDRZEJ STOPKA.

## BAJKA NIE BAJKA.

Som jest i krowy takie, co nie wse rady widzom wołów, ba sie weredy do koniów lebo do sumarów rade bierom.

— Roz, co sie nie stało, była tako przepikno krowa i strasnie rada wydziwiała, coby ino mał na świecie robić i miedzi dźwierzami niezgode zasiewać. Jaze roz uwidziła jednego konia, co kobyłe swojom miol i rod ją widziol, a ona go tyż tak barzo, jaze lo piekności przyprawiała mu rogi. Uwidziła to krowa i strasnie sie je te krziwe rogi zwidziały, jaze zabacyło sie jej mieć na głowie takie pieknoty. I dalejze krowa sklicć koniowi i przimilać sie doń skrony tego interasu, jeze rogi mieć kciała koniecznie.

Ale koń jej tak pado: »Zelzijze, babo, bo jak przyńdzie cas i moja baba nie bedzie widziła, to ja ci rogów pozicem.« Ale kabyś ta babie co wymówiel, heba cobyś jom zaroz kijem zeproł, toby jom popuściło — ho popuścieloby jom sprawnie — ale inacej nijak.

Krowa sie rogów napiero i napiero, a koń jej dać niekce — boi sie. Tozto pote przistoł i pedziol, jeze jej tego sprzętu za darmo nie do, ba kieby ś nim przesiustala za włosi abo za zęby,

to co inksego. Krowa nie kciała dać włosi ze swojej grziwy ani zębów z gęby, bo jej strażnie trza ik było skrony tego, jeze nie ryńdzo i musi dwa razi zuć jedno siano.

Ale koń sie upar, tozto krowa przistać musiała i dała koniowi grziwe i zęby, ale go okłamała, bo mu ino z jednej strony, z jednej zukwy dała zęby, a z drugiej z dolnej se ostawięła.

Jaze kie to kobyła užry, jeze jej hłop rogów ni mo, jak nie zacnie konia prać. Cudacki sie robięło. Tozto koń strasecnie załowoł, bo to, kie baba hłopa bije, to sie i Poniezus w niebie, sitka święci i cały świat smuci, ale juz rogów nigda nie dostoł i do siela ik nie nosi, ba ino hrziwe mo i zęby w obók zukwak.

Ale roz kobyła przisiadła krowe na pastwisku. Raty przeraty cudecki sie robięło, jaze kudły fyrcały, tak sie bięły a tele casi sie wadzięły, jaze krowa cizto piknie jęzór do imentu potaręła, ze jej juz nigda odróść jej ni moze i nosi go taki frędzlaty. A zęby w spodni zukwie i no nos, a w górniej ik ni mo.

Temu to baby miewajem słabe zęby. Nańskie hodzom bez tego sprzętu, ba zaś panie to kostecki opraviam, coby im zetlałyk zębów nie znać było.

Ba i panak widzioł jednego, co se na noc zęby wyruwoł, a na dzień wprawioł. Jaze co się nie stało, polecioł piesek mój do jego izby, co na deniu w niej u mnie siadowoł. Juści porwie oczęła jedna te zęby i uciok. Raty, przeraty! było toz tryjentu, bo ten pon jęść ni móg nijakim światc, ba ino dzień i noc polęwke hlipoł i hlipoł. — Haj.

A to sickiemu baby winny.

